

# BLUSZCZ

*Spółecano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy*

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 3 SIERPNIĄ 1929 ROKU

NR. 31

TREŚĆ NUMERU: Problemat wyższych studjów kobiecych — *Natalja Jastrzębska*. Kobieta a naukowa organizacja pracy — *Jan Belcikowski*. Poezje: „Trakt pod Nieświeżem“ — *Leonard Podhorski-Okolów*. Zawalidroga (d. c.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Sztuka pisania listów miłosnych (c. d.) — *S. Borowska*. U stóp Czarnej Madonny — *Paula Lamowa*. Ś. p. Julian Fałat — j. Z książek — *S. P. O.* Książki nadesłane do Redakcji. Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Pierwsza próba — *Pani Elżbieta*. Żywe futra na P. W. K. — *Jadwiga Kieronarska*. Jeszcze raz o oszczędności — *M. Dobrowolska*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: W podróży — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

## PROBLEMAT WYŻSZYCH STUDJÓW KOBIECYCH

Nikt nie będzie dowodził, że cała młodzież danego kraju kończyć musi ośmioklasową szkołę średnią, ale zupełnie te same warunki większych lub mniejszych zdolności, upodobań, potrzeby szybszej pracy zawodowo - zarobkowej i t. p., napotkamy zarówno u chłopców, jak u dziewcząt. Jeżeli zaś chodzi o praktykę życiową, nie o teorię, to *ogólnie* dziewczęta zwykle nie zaczynają tak wcześnie pracować zarobkowo, jak chłopcy i mogą mieć więcej czasu do kształcenia się, o ile tylko mają potemu zdolności. W iluż to rodzinach, średnio zamożnych, uważa się, że syn powinien już zarabiać, nawet przed ukończeniem studjów, córka zaś pozostaje dłuższy czas na utrzymaniu rodziców i pracę zarobkową zaczyna znacznie później.

Jeżeli więc nie wszyscy mogą zdawać maturę i kształcić się wyżej, to zarówno nie wszyscy chłopcy, jak nie wszystkie dziewczęta. I jeżeli tworzy się projekty organizowania szkół zawodowych, to powinny one być równorzędnie otwierane dla obu płci.

To jest jedyne racjonalne i sprawiedliwe stanowisko; wszelkie inne będą zawsze wyglądały na chęć odebrania kobiecie tych praw, które uzyskała, a na które w Polsce bardziej, niż w jakimkolwiek innym kraju, sobie zasłużyła. Ci zaś, którym naprawdę leży na sercu wysoki rozwój kobiety — zarówno, jako obywatelki, jak żony i matki — powinni poważnie zastanowić się nad tem, aby właśnie *jaknajwiększą* ilość kobiet zachęcać do studjów uniwersyteckich.

Postaram się dowieść, dlaczego.

Otóż, gdy w jakimkolwiek kraju dochodzi do

większej zamożności, kultury i znaczenia i uzyskuje prawa obywatelskie jakaś warstwa społeczna, — myśli ona przedewszystkiem zawsze o jaknajszerszem rozprzestrzenieniu w swem środowisku wyższego wykształcenia. To samo dzieje się, gdy cały kraj wchodzi do rodziny ludów o wyższej cywilizacji. Gdy w Niemczech np. wprowadzono powszechne głosowanie, bardzo często zdarzało się, że synowie włościan kończyli gimnazja i nawet uniwersytety, powracając z nich nieraz do pracy na roli, to znaczy, czynili to nie dla widoków kariery, lecz dla stworzenia szerszym prawom i obowiązkom odpowiednika szerszej kultury.

A u nas? Czyż z chwilą powstania państwa polskiego nie zwiększył się stokrotnie, mało — tysiąc-krotnie kontyngens dzieci włościan i robotników w szkołach średnich i wyższych? Warstwy społeczne, które lat temu kilkanaście nie brały wcale w rachubę możliwości kształcenia się, nie wiedziały prawie o istnieniu wyższych uczelni, dziś uczelnie te zapełniają.

Tak samo w krajach, przyjmujących świeżo cywilizację i ustrój polityczny europejski, jak kraje bałkańskie, egzotycznych, jak Japonja, Chiny, Indje, wszędzie, przedewszystkiem zaznacza się potrzeba dania młodzieży wyższego, uniwersyteckiego wykształcenia.

Jest to objaw logiczny i naturalny, więcej — jest to nieodparta konieczność i to nietylko ze względów kultury materialnej, potrzeby lekarzy, inżynierów, architektów, chemików i t. p., ale potrzeby podniesienia kultury ogólnej, stworzenia odpowiedniego



poziomu myśli obywatelskiej, niekoniecznie na stanowiskach wybitnych i kierowniczych jedynie, ale w najszerszych warstwach.

Kobiety, jako równouprawnione obywatelki, stanowią w społeczeństwie element najmłodszy, uzyskały stanowisko wczoraj i dziś (najlepszym dowodem tego jest Anglja, gdzie dopiero w tym roku przyznano im prawo głosowania bez ograniczeń), muszą więc zdobywać jaknajforsowniej, rozprzestrzeniać jaknajszerzej wyższe wykształcenie, które aczkolwiek od dłuższego już czasu było im dostępne, to jednak nie było wśród nich, tak, jak wśród mężczyzn danego środowiska, powszechne.

To jest logika życia, przechodząca zawsze do porządku dziennego nad wszystkimi martwymi teorjami, które z tych, czy innych powodów, w myśl takich czy innych zasad, pragną ten rozwój życia zatamować.

Narzekamy niejednokrotnie na to, że kobiety, teoretycznie równouprawnione, nie są niemi faktycznie, wysuwamy żądanie równej zapłaty, za równą pracę i równe kwalifikacje. Czy te ostatnie są tak naprawdę zawsze równe? Wykształcenie wyższe — uniwersyteckie lub wogóle wyższej uczelni — jest jednak przez mężczyzn, dążących do osiągnięcia pewnego szczebla kariery w zawodach inteligenckich, uważane za niezbędne — weźmy choćby prawo. Jaki ogromny procent studentów, kończących ten wydział, nie ma zamiaru obrania kariery sędowniczej, ani adwokackiej. Studjuje prawo, bo jest ono podstawą wykształcenia obywatelskiego, politycznego, bo otwiera drogę do całego szeregu stanowisk w administracji państwowej, samorządach, poselstwach, konsulatach, nawet w handlu i przemyśle. Czy kobiety dbają tak o wyższe studia, jeśli nie obrały zawodu, który absolutnie bez tych studjów obyć się nie może?

A teraz — inne fakty (sama w kole najbliższych znajomych znam takich kilka): w rodzinie syn i córka — panienska zdolna, nagle, nie wiadomo dlaczego wychodzi z 7-ej lub (o zgrozo!) z 8-ej klasy! Bo jest trochę wąta, bo się tak chwilowo ułożyły sprawy rodzinne, bo... no, bo wymówek jest legjon. Uplywa kilka lat. Przez ten czas brat pracuje, kończąc jednocześnie wyższą uczelnię, siostra siedzi w domu, nic nie robi i nie uczy się niczego; „wiedza“, nabyta w gimnazjum, wietrzeje jej z głowy — zostanie na całe życie półinteligentką. Czyż nie lepiej, aby zużyła te lata na studia, choćby nawet bez zamiaru obrania określonego zawodu? Czy społeczeństwo i jej przyszła rodzina nie skorzystałyby więcej?

Dlaczego kobieta w tak wielu wypadkach nie może jeszcze dotychczas wytrzymać konkurencji z mężczyzną? Dlatego, że nie posiada nabytej z pokolenia w pokolenie odpowiedniej konstrukcji myślowej, którą dają wyższe studia.

Znane jest złośliwe zapytanie przeciwników równouprawnienia: dlaczego kobieta, od setek lat stojąca

przy garnkach, nie wpadła na pomysł teorji o prężności pary? — Ma to dowodzić niższości kobiecego umysłu — dowodzi tylko tego, że stanie przy garnkach nie pomoże nic, bez znajomości fizyki.

Tak samo mylnie jest mniemanie, że wyższe wykształcenie potrzebne jest tylko tym, które na jego podstawie wykonywać mają zamiar jakąś pracę zawodowo - zarobkową. Dlaczego? A stanowisko — zawód kobiety - obywatelki i matki - obywatelki, tej obywatelki - wychowawczyni — czy wyższych studjów nie wymaga?!

Jakże inaczej rozumują kobiety szwajcarskie! W połowie bieżącego miesiąca odbędzie się w Genewie Kongres Międzynarodowej Federacji Kobiet z uniwersyteckim wykształceniem. W motywach zjazdu czytamy następującą klasyfikację uczestniczek i podział korzyści, które każdej z nich kongres przyniesie: „Te, które pracują zawodowo, podzielą się swem doświadczeniem i wyjaśnią wzajemnie różne wątpliwości; te, które nie wykonują żadnego zawodu, których istnienie wypełniają skromne prace, tak jednak pożyteczne, tworzące życie większości kobiet — te, z radością wspominając lata studjów uniwersyteckich, odświeżą swe umysły, zyskają oparcie łączności wzajemnej i kontakt ze światem wiedzy utrzymają“.

Nie posiadające jeszcze prawa głosowania szwajcarki uważają, że nawet tym kobietom, które poświęcą się „skromnym pracom“ w domu i rodzinie, nie szkodzić wyższe studia i kształcą się z zapałem. Mamy zresztą i u nas takie przykłady. Znam kobietę, która, ukończywszy medycynę, poświęciła się wyłącznie wychowaniu dzieci, i one napewno nic nie straciły, mając we wzorowej matce jednocześnie lekarza, ale fakty takie są jeszcze niezbyt częste i, doprawdy, dziwne jest rozumowanie tych, którzy rzekomo dla dobra rodziny zniechęcają kobiety do wyższych studjów, zamiast najgoręcej je propagować.

Umysł człowieka — wszystko jedno: kobiety, czy mężczyzny (ale kobiecie o ileż to jest obecnie potrzebniejsze!) — który przejdzie rygor poważnych, wyższych studjów, inaczej zupełnie potrafi ujmować życie. Pogłębienie każdego zagadnienia, logiczne podejście do każdej sprawy, wnikliwość analizy i pewność syntezy — są to cechy umysłowe, które wprawdzie można posiadać z natury, ale które każdy, po ukończeniu wyższych studjów, posiadać, choć w pewnym stopniu, musi.

A są to właśnie te cechy, których brak najpowszechniej i wielokrotnie — nie bez słuszności, jest kobietom zarzucany.

Dlaczego więc chcemy przeciwdziałać nabyciu ich przez jaknajwiększą liczbę kobiet?

Wiemy wszyscy, bo każdy z nas widzi setki i tysiące przykładów, jaką tragedją jest brak kwalifikacji dla kobiet starszego nieco pokolenia, zmuszonych ciężkimi powojennymi warunkami do pracy zawo-



dowej. Inteligentki, pokończyły kiedyś jakieś pensje, nieraz mają „domowe” wykształcenie, często nawet wcale nie najgorsze, ale... brak określonego całokształtu wiedzy, brak tego właśnie „rygoru” przebytych studjów, brak wyższego dyplomu — niewykwalifikowane! Chwytają się to tego, to owego zawodu: nauczycielstwa, dziennikarki, jakichś biur — chcą pracować. Są nieraz zdolne — nie wiele to pomaga, są zaledwie tolerowane, o równości stanowiska z wykwalifikowanym mężczyzną mowy być nie może. I trudno się dziwić.

Mówi się obecnie b. wiele o kształceniu w szkołach tak zwanych zawodowych. Bezwzględnie są one konieczne, bezwzględnie rzesze kobiet różne zawody rzemieślnicze, handlowe, przemysłowe wykonywać będą; ale nie ludźmy się, że kobiety ze sfer inteligencji zostaną chętnie — masowo — rzemieślniczkami; nie powtarzajmy fatalnej mody z czasów teorii tak zwanej „pracy organicznej” z pierwszej epoki pozytywizmu, gdzie każdego chłopca posyłać radzono „do ślusarza”. Teorii, tak krwawo, a tak wspaniale życiowo zironizowanej przez Berenta w „Fachowcu”.

Polska potrzebuje rzemieślników, handlowców, przemysłowców i wszelkiego rodzaju fachowców; ale

potrzebuje również całych rzesz pracowników umysłowych, a wyższe wykształcenie żadnemu fachowcowi nie zaszkodzi i żadnej fachowczynie. Posiadając wyższe studja, kobieta stanie narówni z mężczyzną w pracy zawodowej, bo studja te dadzą jej solidną podstawę pracy, nauczą poważnego jej traktowania, dadzą jej pewność siebie, zdobytą połączeniem doświadczenia teorii i praktyki.

Posiadając wyższe studja, kobieta rozwine prawdziwą działalność społeczną i obywatelską, nie amatorską — od wypadku do wypadku, ale planową i trwałą.

Posiadając wyższe studja, kobieta nie znajdzie się nigdy wobec swych dzieci w położeniu nieświadomej, nierozumiejącej poważnych zagadnień wychowawczych matki.

Te, które do tych wyższych studjów nie mają zdolności, zamiłowania i warunków, będą zawsze jeszcze dosyć liczne — niema obawy; ale przynajmniej nie zniechęcajmy tych, które te warunki posiadają. Nie snujmy planów uniemożliwiania tych studjów w imię interesów rodziny. Rodzina-dom i wielka rodzina - państwo — w każdej kobiecie światłej zyskują cegiełkę do gmachu rozwoju. *Natalja Jastrzębska.*

JAN BEŁCIKOWSKI

## KOBIETA A NAUKOWA ORGANIZACJA PRACY

Pierwsze Koło Inżynierów Organizacji utworzyło się w Warszawie już 30 listopada 1923 r. Z początku obejmowało ono jedynie pewne grupy techników, niebawem atoli z rozmachem iście amerykańskim objęło i sfery wytwórcze, i sfery rządowe, i oto w rok niespełna później, w grudniu r. 1924, na pierwszym Zjeździe Polskiej Naukowej Organizacji Pracy nowa myśl organizacyjna wkracza już i w dziedzinę szkolnictwa i biurowości, i w dziedzinę administracji państwowej, i w sprawy rolnictwa, i, drogą psychotechnicznego wyboru zawodu, ogarnia rzesze młodzieży, przeważnie rzemieślniczej, i — co prawda, dotychczas jeszcze napróżno — próbuje pozyskać dla siebie szerokie warstwy robotnicze. Pomimo jednak tak wszechstronnego i szczegółowego rozplanowania swojej działalności, ten Pierwszy Zjazd N. O. oraz jej zjazdy następne przeszły, właściwie, nad pracą zawodową kobiety do porządku dziennego (powstała jedynie, pod wpływem przekładu w r. 1926 studjum p. Krystyny Frederik, tendencja do wprowadzenia zasad N. O. do gospodarstwa domowego). I, rzecz dziwna, działo się tak, aczkolwiek kwestją Naukowej Organizacji zajęły się żywo i same kobiety, że wymienimy u nas pp. Gołińską-Daszyńską i ś. p. Joteyko.

Wytlumaczenie tego zjawiska znajdujemy po-

niekąd w całkowitem prawie zogniskowaniu badań np. psychotechniki — tej integralnej części nauk organizacyjnych — na psychologii indywidualnej, z zupełnym niemal odrzuceniem psychiki ogólnej i psychiki rodzaju, nie mówiąc o dramatycznym w swych skutkach negowaniu psychiki klasowej, a także narodowej.

To też nie dziw, że od tej właśnie strony, przeciwko temu bezrodzajowemu, świadomie atomizującemu, rozbijającemu na drobne cząsteczki wielkie fronty Świata Pracy, dążeniu nowoczesnej Myśli Organizacyjnej poczęły odzywać się protesty zarówno z obozu kobiet, jak — i jeszcze bardziej donośne — ze sztabów związków robotniczych.

Wśród tych protestów — w sprawie nas w tej chwili obchodzącej — zwrócimy uwagę na uderzające na trwożę głosy pp. Grossek-Koryckiej i Lombroso.

I jedna, i druga, w słowach gorących i serdecznych, odwołują się do zapomnianych, sponiewieranych praw kobiecej duszy zbiorowej i żądają rewizji obecnej organizacji pracy zawodowej kobiet (patrz — Grossek-Korycka: „Świat Kobiecej” — str. 199, 200 i dalsze).

„Inteligencja kobieca” — jakby alarmując przed grozą bezuczuciowej, naukowej normalizacji



pracy, podkreśla, między stu innymi podkreśleniami, p. Korycka — „jest przypadzista; wahania jej są bardzo znaczne: skoki i spadki, czasem stagnacje. Ta sama pracownica będzie się sprawować przy tym samym warsztacie: świetnie, miernie i niedołążnie, stosownie do swojej predyspozycji nerwowej“.

Jak zobaczymy poniżej, rzeczywistość tylko częściowo odpowiada tym i innym założeniom p. Koryckiej.

Bo, gdyby tak było w istocie, gdyby, zaprawdę, wydajność pracy kobiecej pozostawała w zależności niewolniczej od jej stanów nerwowych — to nie byłoby mowy o jakimkolwiek udziale kobiet w naukowej, czyli, innymi słowy, maszynowo zorganizowanej ich pracy zawodowej.

We współczesnej, zmechanizowanej pracy biurowej, zwłaszcza buchalteryjnej — kobieta zdystansowała mężczyznę i wykazała swoją przewagę: w szybkości i biegłości wykonania, w wysokości obciążenia naturalnego (większą wytrzymałość), w kontentowaniu się bardziej prymitywnymi środkami pobudzania do pracy, poniekąd w oszczędności (mniej błędów, mniej psucia papieru), w zupełnym wreszcie przystosowaniu się do normalnego, o długiej, że tak powiem, fali rytmu pracy (długa praca, krótka przerwa).

Nim atoli przejdziemy do współczesnych, niestety, bardzo skąpych obserwacji i doświadczeń w tej dziedzinie, musimy cofnąć się nieco wstecz, do historii, do jedynej, zdaje się, systematycznej jej badacza w tej płaszczyźnie — do Havellock Ellisa. W swoim obszernym, znanym już u nas przed 32 laty z przekładu polskiego, studjum p. t. „Mężczyzna i Kobieta“ p. Havellock poświęca rozdział VII tego dzieła doświadczeniom w interesującej nas sprawie, dokonanych przez różne urzędy i biura: amerykańskie, angielskie, niemieckie i t. d.

Ponieważ ówczesna metoda eksperymentalna przypomina, w ogólnych zarysach, t. zw. obecnie w psychotechnice testy (próby), przeto dla zorientowania się należytego w dzisiejszym stanie tych badań, nie od rzeczy będzie wspomnieć o niej słów kilka.

Otóż, dowiemy się stamtąd przedewszystkiem, że pierwszym, który się podjął już w r. 1891 badań nad różnicami w intelekcie na zasadzie różnic płci, był głośny prof. Jastrow. (Ze stanowiska raczej ekonomicznego badań je, coprawda, przed nim, bo już w roku 1881, znany autor „Dziejów Ruchu Zawodowego w Anglii“ — Sidney Webb).

Badania te były dokonane nad studentkami i studentami uniwersytetu. Pięćdziesiąt osób (po 25 każdej płci) miało możliwie szybko napisać po sto wyrazów i zapamiętać czas. Otrzymano w taki sposób 5000 wyrazów, z których blisko 3000 były wspólne dla wszystkich, co wskazuje na wielkie jednak podobieństwo obu płci w dziedzinie pierwszych impulsów intelektualnych. Co do czasu, to na nim

różnice płci nie objawiły się zupełnie: zadanie wykonano w jednym czasie.

Wracając po tem odchyleniu do właściwego w tym artykule tematu — do biurowej pracy kobiet — w omawianem studjum znajdujemy ciekawe materiały do badań nad tą pracą w urzędach, rzecz nieco dziwna, jedynie pocztowych, w Londynie i na prowincji.

Badania te doprowadziły wówczas do następujących uzgodnionych wniosków:

„Zatrudnienie kobiet na pocztach jest tańsze (o 25% blisko), lecz bywa połączone z różnymi brakami: 1) kobiety częściej bywają nieobecne (odpowiednią statystykę podaje Webb, ale dodaje: — korzyść pracy kobiet dla pracodawcy leży nietylko w jej taniości, ile w jej „posłuszeństwie“ — „kobiety mniej strejkują“); 2) nie nadają się do zatrudnienia w nocy, kiedy wypada znaczna część zajęcia; 3) niewiele mogą zrobić ponad normę zwykłą, a na Boże Narodzenie np. jest wiele pracy dodatkowej; 4) w urzędach, gdzie są czynne kobiety, potrzebni są mężczyźni dla obrony w razie napadu; 5) tam, gdzie kobiety zastępują mężczyzn, obowiązki czterech mężczyzn spełnia pięć kobiet, głównie może dlatego, że nie jest rzeczą bezpieczną pozostawienie kobiety samej jednej; 5) oddzielne pokoje dla kobiet w urzędach pocztowych wymagają wielkiego kosztu i często są niemożliwe z powodu braku miejsca. Ostatni powód stanął na przeszkodzie ogólnemu przyjęciu kobiet do urzędów prowincjonalnych“ (str. 222, tamże).

Obok tych braków obserwatorzy podkreślają następujące cechy dodatnie pracy kobiet. Kobiety mogą więcej dokonać, niż mężczyźni, ale przy odpowiednio dobrych warunkach. Kobiety są posłuszne, karne. Również dobrze, jak mężczyźni, wykonują prace lżejsze, w pewnych razach są akuratsze, ale mniejszą ujawniają pojętność poza zwykłą rutyną — t. j. pracą ciągłą, przy małym natężeniu. W urzędach prowincjonalnych są grzeczniejsze od mężczyzn, zato w Londynie są brutalne i powodują wiele skarg ze strony publiczności (— może to wina samej publiczności — dodaje autor).

Tak się w zarysach ogólnych przedstawiało pierwsze zetknięcie kobiet z pierwszymi próbami organizacji naukowej, to znaczy organizacji, opartej między innymi, na obserwacji i na doświadczeniu.

Oczywiście, i ta obserwacja, i to doświadczenie wiele pozostawiały do życzenia. Odbływały się, mianowicie, i bez badań psychotechniczno-fizjologicznych, i bez chronometrażu, i bez należytej zastosowanej zasady podziału pracy i t. p.

Ale, bądź co bądź, w istotnych swoich wywodach wnioski powyżej przytoczone okazują się, jak zobaczymy, słuszne i mogą stanowić tło, niezbędne dla zorientowania się we współczesnych poglądach kierownictwa biurowo-administracyjnego na podległą mu pracę kobiet.



LEONARD PODHORSKI · OKOŁÓW

Z CYKLU: „NOWOGRÓDZKIE”

## TRAKT POD NIEŚWIEŻEM

Oto ziemia piaszczysta, i trawa, i drzewa,  
I lagodne niebios, i lekkie obłoki,  
Oto droga, gościniec — jak oddech szeroki,  
Kędy z wiatrem w zawody tęsknota przemiewa!

Po przez pola bez kresu, przez pastwisk obszary,  
Zakrętami, naprzelaj, ze wzgórze na wzgórze,  
Coraz dalej i dalej, zielony i szary,  
Szumi sennie brzozy i ginie w lazurze.

Tyle wspomnień! Tym traktem, w lipcową spiekotę,  
Ileż razy jechało się czwórka cugową,  
A dokoła pszenice sypały się złote,  
I kurz, wzbity kopytem, zawisał nad głową.

Zwolna w półsen grażyły resory rozchwiane...  
Wówczas, oczy przymknąwszy, znużone blaskami,  
Tak się słodko słuchało, jak brzozy mijane  
Nadpływają poszumem, — i cichną przerwami.

Przy woźnicy, na koźle siedzące pacholę  
Wciąż pytało: „Ptak jaki tam usiadł na łące?  
„A tam jaką wieś widać? A czyje to pole?  
„A dlaczego na brzozy te mówią: „placzące“?”

Dzisiaj wiem już, dlaczegoście wówczas płakały!  
Wtedy — nikt nie przeczuwał. O, drzewa zielone!  
Tam daleko dom stoi, najdroższy i biały:  
Szyby smutkiem zasnute i progi stęsknione.

Ach, znów wejść na ten ganek, otrząsnąć kurz z nogi,  
Przejść przez wszystkie pokoje w skupieniu, powoli,  
Wyryć w sercu i unieść stąd każdy kąt drogi,  
Na wieczystą rozłąkę w stołecznej niewoli!

A odchodząc, raz jeszcze przeżegnać zdaleka...  
Boże, wszak on tam stoi! On jeszcze pamięta!  
On wciąż jeszcze, jak dawniej: i tęskni, i czeka!  
Ale dla mnie dziś droga do niego — zamknięta.

Tak. Granica. O brzozy! Wy, wiatrem chylone  
Ku wschodowi, w swoim szumie zanieście ode mnie  
Wieść domowi, co patrzy w zachodnią wciąż stronę  
I powrotu mojego wygląda daremnie.

Ach, powiedzcie, że ten, co najlepsze swe lata  
Spędził tam, w pokoiku z kominkiem, na piętrze,  
Nie zamieni go nigdy na żaden kąt świata  
I wspomnienia przechowa, jak skarby najświeższe.

Opowiedzcie, że zdala on przybył tu oto,  
Aby wzrok swój nasycić rodzimą przestrzenią,  
I że przypadł do ziemi, razony tęsknotą,  
I tak płacze, tak szlocha pod waszą zielenią!





HERMINJA NAGLEROWA

13)

## ZAWALIDROGA

(powieść)

Niechętnie wydał z rąk książkę. „Nędznicy“? I, do prawdy — pieczętka dziadka: Franciszka Kalinieckiego! W ten sposób dowiedział się Franek, że w oficynie są książki. Było tu kilka szaf jeszcze po dziadku Franka, wypchanych rozmaitym beletrystyką. Książki oprawne w brązowe, groszkowane płótno, ze złoconiami na skórzanych grzbietach — powieści francuskie, niemieckie i tłumaczenia. Rzadko kiedy jakiś Bałucki, czy Kraszewski, ale zato w komplecie Hugo, Balsac, Hoffman, Heyse. Kartki były wilgotne i wiotkie, zasiane żółtymi plamami, niby prosem.

Okazało się zczasem, że Iwaś nie był głupi, zachwalając Balsaca. „Kuzynek Pons“ był jakby lekcją o życiu, którą wykuwało się niemal napamięć. Można sobie było przymierzyć te wielorakie krzywdy i wyostrzać zmysły dla rychlejszego poznawania ludzkiej chytrłości.

Iwaś postanowił wreszcie któregoś dnia, że ostatecznie nie stanie się nic złego, gdy będzie mówił z Frankiem po polsku. Trzeba zrobić to ustępstwo, skoro ma się tak wiele do powiedzenia.

— Ech, ta wasza polska powieść! Co w niej jest? To od francuzów się uczyć, od nienców! Czyta się i już się jest z tymi ludźmi, widzi się ich, rozumie. Mówią poprostu, tak, jak żywi ludzie. W polskiej powieści już same słowa zadzierają nosa. Wszystko — poezja, patos! A czyta się po to, aby znaleźć myśl, aby nabrać rozumu. Chciałoby się czegoś nauczyć!

Franek spierał się trochę, ale nie miał właściwie ochoty na te dyskusje. Zadużo w nich było zacierzenia. Pcd ciasną bluzą gimnazysty miotano się zawsze wzburzone serce, a wielkie, czerwone ręce plaskały o książkę, jak łopaty, przyklepujące ziemię. Tylko błękitne oczy, zmętniały od choroby, żaliły się, patrząc gdzieś w bok. Tak się więc stało, że oficyna była zapowietrzona „filozofowaniem“ Iwaśka i nie można było znaleźć miejsca, gdzieby się czuło dobrze i domowo.

Ojciec darzył zresztą uprzejmością, niby kwasową jagódką, a Hala przepływała wzrokiem, jak przez rozrzedzone powietrze. Tak właśnie działo się podczas śniadań, obiadów i kolacyj, kiedy było się razem. Rozmowy ciągnęły się ciężko, naładowane nieszczerością. Coś się omijało, w jakiś dół grzęzło się ostrożnie. Papuś szeroko, a donośnie wykladał swoje gospodarskie sprawy i niebieskimi światłkami oczu pełgał ku Hali. Franek mógł więc tylko widzieć jego profil, wyrysowany gładko, jak na egipskiej rzeźbie.

Po ciedzie ojciec odchodził z Halą do innych pokoi, a Franek coś tam zawsze musiał wymyślić dla siebie. Miał tu przecież wolnego czasu poddostatkiem,

więc na dobrą sprawę wszystkie godziny dnia były własne i niepotrzebne.

Zdarzało się jednak, że już zrana zabierał go ze sobą ojciec na gospodarskie objazdy. Konie tańczyły na drodze, albo po wąskim pasemku między. Wzrok Franka powracał od chwiejby żyta do szerokich pleców jadącego przodem ojca. Brązowy kark tkwił sztywno nad białym pasemkiem kołnierza, a złotawy wianuszek włosów lśnił pod obręczą czapki. Oczy Franka gryzły wtedy, jak złośliwe, żółte muchy. A trochę jakby się puszył, że potrafi udawać, że niczem nie zdradził przed ojcem tego, co sobie myśli o tem wszystkim. Tyle, że jest tu i patrzy i wie. A wyraźne słowo należy już chyba do ojca. Jakże mu to ojciec powie któregoś dnia? O sobie, o Hali, o matce i o nim samym? Jak mu to powie, ażeby ulżyć wszystkim, wplątanym w te wspólne sprawy? Poczekaj cierpliwie, aż przyjdzie taka godzina.

Tymczasem oczy, głaskane wiatrem, patrzyły, jak przez liljową mgłę. Szeroki krajobraz kołysał się falą, siniał pod cieniem chmury, wybielał się w słońcu, jak śnieg. A nalewo właśnie ciemny pas lasu ścinał widnokrąg. Franek wiedział już, że tam za żytem jest kartoflisko, a jeszcze dalej zieleni się jęczmień, który się nieco spóźni w tym roku. I wogóle ta późna wiosna tegoroczna była tu tematem aktualnym wobec nadchodzących zniw. Wyrwy w życie świadczyły o tem, że śnieg, który zbyt długo leżał, wyparzył ozimienę. Ojciec odwracał głowę i wskazywał Frankowi smutne łysiny w polu. Franek bardzo powoli przyjmował w siebie te strapienia ojca, obliczane od razu na cyfry, którei ojciec określał ewentualną „wydajność“.

Ale patrząc tak na pole, należące do ojca, zaspiał się własną myślą, która, najpierw niewyraźna, poddawała się niepokojowi wiatru pachnącego ziemią i kwiatem żytnim. Jakgdyby właśnie jego myśl miotł tu wiatr popod cień chmur i rozblask słońca.

Bojaźliwie rozważał. Jak to będzie kiedyś? Czy — po ojcu — czy on tu? Bo przecież tak właśnie jest, że jemu — jako spadkobiercy...

Było coś przykrego i nieprzyjemnego w tem słowie: spadkobierca. A jednak, komu to wszystko, jak nie jemu? Czy jest tu czyjeś większe prawo?

Zrodziło się tak we Franku nieznanne dotąd uczucie: — twarde, zawzięte pragnienie posiadania. Odczuwał je w pięściach, w mięśniach, w mózgu. Przytrzymywał wyraźnym słowem na ściśniętych wargach. Rozszerzał się, olbrzymiał, by móc od razu i zawsze wszystko zagarnąć i posiadać. Czasem, gdy idąc koślawą drogą, zsuwał się kruchym nasypem, zda-



wało mu się, że stopami zgarnia dla siebie tę ziemię, że już ją sobie wziął na własność. Głaskanie kłosów zaspokajało na chwilę, bo jakby się już miało w rękach, jakby już nasyciło pożądliwą dłoń.

— To moje! — Cichy, niziutki szept, już w tej chwili sobie samemu nieprawdopodobny i zanadto zuchwały, cofał się szybko, jak susel do nory. Ale głębiej, jeszcze głębiej przemieszkiwała chęć dzika i nieposkromiona, aby coś z tego, co tu jest — zagrabić, ukryć, zdobyć siłą.

Z wyraźną intencją mawiał teraz: nasze! i patrzył uważnie na ojca, czy nie dostrzeże w jego twarzy wrogiego sprzeciwu?

Niewzywany przez nikogo, plątał się wczesnym, sinym jeszcze rankiem po folwarku. Gdy wymierzało się obroki dla koni, rzucał niepotrzebne rozkazujące słowa w mrok stajni. Przed dziewczkami przy podaju głupimi żartami stroił panicza. A gdy osypywano kartofle, szeroko rozstawione nogi wbijał w lepka ziemię. Kawki, lecące z pola na pole, czarną ciźbą maciły niebo i krzykiem smagały gorącą głowę. Stał tu przecież, pomijany wzrokiem robotnic — niby nikt, niby wogóle nikt!

Przy sianożęci brał się natarczywie do kosy. Ktoś mu tam z miłosierdzia pokazywał właściwy „gryf“, tłumacząc, że to i łatwo, i trudno, a zwłaszcza trzeba mieć wprawę. Już go tak ojciec zastawał roslęgo, z podkasanymi rękawami u ślicznej, jedwabistej koszuli. Muskuly grały pod złotawym atlasem skóry, a twarz, nadmiernie czerwona, płonęła wstydem nieuctwa. Bo chluba lekkoatletyki i footballu — fuszerował kośćbę. Żywa, zieloną krwią pluskająca trawa, opierała się niezręcznym cięciom, a tylko nieudolne ramię zagarniało jasny śmiech łąki i skrzypot wszystkich kos. Ale choć tak szło haniebnie, Franek kroczył w rzędzie z miną niebylejąką:

— Niech to sobie pozbiera rozumem papa, niech się wykrzywia pobłażliwie!

Zapewne, nic nie należało mówić z ojcem o sprawach, które, jak perz, plątały się na każdym kroku, ale mimo to zgrywał się Franek, niby początkujący aktor. Poprostu nadużywał gestów, chcąc, by go rozumiano. I tak coraz grubszą warstwą sadzy smarował swój „czarny charakter“, byle tylko zwrócić na siebie uwagę, albo sprowokować jakieś „rozstrzygające wypadki“. Służyły potem obrzydliwe, wiedzące miny, jakieś grymasy, każące się domyślać niechęci i bodajże potępienia. Bo i cóż? Niech zwiędnie, niech szernieje każdy uśmiech Hali! Niech się zachmurzy blask jej oczu, jak zły dzień słoty! Niby to zostawiał ją w spokoju, niby to wcale jej nie dostrzegał, ale już deptał po piętach codziennym nawykom.

— Zaraz po obiedzie pojedziemy do buraków!  
A ojciec mówił porozumiewawczo do Hali:

— Trzeba tam pojechać, prawda?

Franek rzucał z podelba zielony błysk i dziwił się, że tak spokojnie, tak obojętnie przyzwalała: Jedź!

Ojciec posłusznie dosiadał konia i coś tam rozpowiadał o dobrych warunkach, jakie mu daje cukrownia. Białe obłoki puszyły się i wydymały pod pęd wiatru, niebo uciekało wzwyż, a słońce spadało na jeźdźców piekącymi piętami.

— Gorąco — stwierdzał ojciec, a Franek odczuwał niesmak, że jego przekorne pomysły udają się tak gładko.

Bo, choćby się chciało inaczej, ojciec gruchał, niczem gołąb — miłutko, zalotnie o byle czem. Coś nawet o polityce, o kwestji rusińskiej, o Lidze Narodów. Franek, oczywiście, nie miał pojęcia o tych wszystkich ważnych kwestjach, o mniejszościowych zagadnieniach we wschodniej Małopolsce. Nie pojmował, dlaczego nie można tych spraw rozwiązać sprawiedliwie, bez niczyjej krzywdy. Czy dlatego, że ojciec tak niemilosierdzie drwił z pretensyj rusinów, czy dlatego, że serce Iwaśka było zawsze wzburzone? Znosił więc pokornie docinki ojca, skierowywane przeciw „warszawistom“ i federacyjnym politykom od zielonego stołu.

Ale, gdy się już doszło do tej Warszawy, nagły żal pociągnął Franka ku temu, co tam zostało. Pomyślał: Czekał, teraz ci powiem o matce, teraz się dowiesz, jak my tam... Lecz ojciec jakby nie dosłyszał ostrożnych, wahających się słów syna. Jak szczupak, wyslizgnął się, uskoczył w bok i popłynął na bezpieczne wody.

A właśnie zazieleniły się już rzędy buraków, już nawet można było widzieć czerwone, jakby krwią nabiegłe żyłowania liści. Łan podpływał pod górkę i tak wyścielał się oczom — wielki, rozłożysty, bogaty od rudawej, mialkiej ziemi.

— Tam jest cmentarz wojenny — wskazał ojciec szpicrutą.

Ledwie, ledwie bielili się czuby brzoźowych krzyży.

— W samym środku pola, chyba jedna morga.

Niewiadomo skąd zwibrował przestrzeń cieniutki śpiew dziewczyny. Ojciec i syn zaśmieli się do siebie, taksamo dziecinnie i radośnie.

— To dzieci bawią się na cmentarzu. Poniszczyły już krzyże, zaśmieciły, zapaskudziły groby.

— Trzeba zabronić!

— Jak? Stróża postawić na cmentarzu? Za parę lat i tak się zaorze. Cmentarz rosyjski i nikt o to nie dba.





S. BOROWSKA

2)

## SZTUKA PISANIA LISTÓW MIŁOSNYCH

(Humoreska na smutny temat)

Gryzelda przerwała, zmuszając się do śmiechu:

— Jestem urzędniczką, nie posiadam ani jednej nieruchomości...

Astrolog spojrział na nią surowo:

— Horoskop każdego człowieka dzieli się na dwanaście domów... Dom siódmy jest domem małżeństwa, procesów i jawnych wrogów. Saturn uszkadza pani ten dom, zarówno jak słońce, wnioskuje tedy, iż zamąż pani nie wyjdzie, lub jeśli wyjdzie — będzie tego żałowała... Nie radziłbym pani również procesować się z kimkolwiek; poleciłbym jak najgoręcej pewne zapomnienie o sobie, poświęcenie się dziełom miłosierdzia, pomocy biednym i nieszczęśliwym. To uda się pani niewątpliwie i w tem znajdzie pani najgłębsze zadowolenie, bo Jowisz, ta wspinała planeta, znajduje się w horoskopie pani...

Ale Gryzelda miała już wyżej uszu astrologicznych wywodów. Powstała energicznie z krzesła i zapytała, ile jest winna.

„Gwiazdor“ wstał również ze swego fotela. Oblicze jego, przypominające uszlachetniony typ Nerona, miało wyraz godności i namaszczenia.

— Nic, proszę pani; od kobiet pracujących nie przyjmuję honorarjum. Serdecznie współczuję moim siostram, walczącym z przeciwnościami losu. Służę im zawsze bezinteresownie pociechą duchową.

Gryzelda chciała protestować, uchylić tę rzecz niedopuszczalną — darmową poradę, ale nie umiała opanować zdenerwowania. Słowa rozplynęły się w jakimś obcym jej, gardłowym dźwięku; podała rękę swemu dobroczyńcy i wyszła.

Zstępowała gwałtownie po niewygodnych schodach, gdy nagle usłyszała, że drzwi od jego mieszkania otworzyły się z hałasem. Do uszu doleciało niespokojne:

— Proszę pani...

Postąpiła parę stopni wwyż. Ponad poręczą schodów zwiślała głowa astrologa, jak wielka kula, nabita dynamitem okultystycznej wiedzy. Twarz zdradzała pewne zakłopotanie:

— Proszę pani, jeśli w tem, co powiedziałem pani dzisiaj, było coś, co mogło panią zmartwić, to proszę się pocieszyć... Im więcej będzie pani cierpiała w życiu, tem bardziej rozwinię się pani duchowo. Wszystko jest złudą, prawdą jest tylko wieczność!...

Gryzelda pędziła po schodach, jakby ją gonili Eumenidy. Zdyszana, wypadła na ulicę, w poczuciu straszliwej kosmicznej katastrofy swego życia...

„Uszkodzone“ zachodziło spokojnie, śląc uko-

śne promienie na ciepłe dachy kamienic. Gryzelda odetchnęła. Zawróciła do domu. Z pobliskiego kwietnego straganiku doleciał ją zapach lewkonji. Pachniała tak odurzająco, jak pachniały i pachną zawsze kwiaty kobietom, co mają słońca w porządku. Gryzelda zaśmiała się zcicha, nie bacząc na mijanych przechodniów. Próbowała zażartować.

— Mój Boże! — myślała — była już Iseult o białych dłoniach, była Berta o dużej stopie i Wilhelm o długim mieczu... Któż przekaze potomności dzieje i tragedję Gryzeldy o uszkodzonym słońcu?...

W domu ochłonęła zupełnie. Dom, choćby najnędzniejszy, otula, jak przyjazne ramiona. W domu, doprawdy, chyba nic złego spotkać nie może.

Gryzelda zdjęła okrycie, przestawiła to i owo na stole. Zasiadła do czytania.

Zapadł zwolna zmierzch. Fala melancholji powróciła. Gryzelda wyjrzała przez okno. W głębi podwórza trzepotał się jakiś zapóźniony gołąb. Dzieci bawiły się piłką.

— Smutno jest i nikt już pewnie dziś nie przyjdzie — pomyślała. — Jutro znów biuro. Na niebie wypisano złotemi gwiazdami: „Niema męża dla Gryzeldy!“... Zróbmy gimnastykę, która godzi z życiem, wyrabia mięśnie i daje długie, spokojny sen...

Zdjęła suknie i stanęła naprzeciw lustrzanej szafy. Spojrzała uprzejmie, bez specjalnego upodobania na swą prześliczną postać, godną Houdon'owskiej Djany. Podniosła i opuściła ramiona, obserwując machinalnie grę silnie rozwiniętego mięśnia „pectoris“, poczem zaczęła wykonywać gimnastyczne ruchy, wyginając ręce i przęając nogi.

— Przynajmniej robaki, zjadając mnie po śmierci, nie będą mogły powiedzieć, że gryzą coś obrzydliwego... — myślała, robiąc trudną „siekankę“ nogami.

\* \* \*

Konie unosiły Gryzeldę od stacji kolejowej, w głąb zielonej, pachnącej, kresowej okolicy. Jechała na urlop do spotkanej przypadkowo w zimie, a od czasów szkolnych niewidzianej, zamężnej koleżanki. Było ciepło i ślicznie, a wszystko, co przesuwawało się miarowo po obu stronach powozu, było żywe, istotne, rosnące, nie zaś przeczytane w książce, gwoli podniesieniu ducha i wejściu w styczność z naturą, po dniu spędzonym w zaduchu biura i wielkiego miasta.

Dokoła głowy snuły się powiewy, niby nieoczekiwane, a najmiłsze możliwości; ale serce Gryzeldy, oddzielone człowieczą nędzą od prostego szczęścia przyrody, czuło jeszcze swą obcość.



— Ot, goryl, to szczęśliwe zwierzę — dumiała Gryzelda. — W niewoli żyje najwyżej rok. Przed tym terminem dostaje pomieszania zmysłów i ginie. Umiera z tęsknoty za wolnością, za puszczą, za własnym życiem. A człowiek jęczy i szarpie się w takim biurze, pomiędzy zakurzonym kopjałem i wątpliwie nieraz mądrym szefem, kona z obrzydzenia i smutku, a umiera dopiero w czterdzieści lat później, na zapalenie miedniczek nerkowych, dyzenterję, czy nowotwór na wątrobie... Ach, ma duszę i „rozwiija się duchowo“!... — wspomniała gadanie astrologa.

Dom pani Ewy, owejże koleżanki, stał prawie na granicy, u samych rubieży „dzikich pól“, skąd zawsze szły dziejowe nawałnice. Wpobliżu czuwało mężne serce „K. O. P.“, a życie tam było inne, może odrobinę „dziksze“, lecz jakby nastrojone na jakiś wyższy ton. Tak przynajmniej myślała Gryzelda, chodząc po wielkich pokojach strzyżakowieckiego dworu, który, spalony w czasie wojny i odbudowany potem, nie odzyskał już pierwotnej świetności.

Sercem tego osiedla była Ewa, kobieta nieco młodsza od Gryzeldy, niezwykle piękna, pełna życia i inicjatywy. Każdy krzew bzu w ogrodzie, każde drzewo w parku, każdy kwiat na klombie znały do tknięcia miłosne jej rąk, które w swoim czasie nawet z gruzów spalonej siedziby umiały wyczarować na nowo trochę piękna. Uroda jej, znana Gryzeldzie niedostatecznie z czasów pensjonarskich, rozkwitła i była dla skromnej urzędniczki przedmiotem ustawicznego podziwu. Szczególnie zachwycały ją ręce Ewy. Nie były to jednak ręce kobiet ze starych rycerskich rodów, zawsze jakgdyby jeszcze męskie w swej filigranowej delikatności. To były nawskroś kobiece ręce pogańskich, greckich bogiń, same w sobie będące najwierniejszym obrazem szczęścia i piękności. Gryzelda dziwiła się zaraz od pierwszej chwili przyjazdu, że ona temi rękami tak sobie wszystko robi na codzień: zapina guziki u pantofli, otwiera drzwi lub dotyka pieniędzy. Przecież ręce jej powinny leżeć na atlasowej, błękitnej poduszce, przykryte szklanym kloszem i całowane oczami zachwyconych widzów.

Drugim powodem zdumienia dla Gryzeldy był śmiech pięknej koleżanki. Nie słyszała jeszcze takich kolorowych treli, nie sądziła, że może je wyrzucać ludzkie, bądź co bądź, zwyczajne gardło. I ten śmiech, jak i przecudne ręce, był nawskroś kobiecy. Gdy Ewa się śmiała, uśmiechali się natychmiast wszyscy mężczyźni, będący w pokoju, cały męski personel służby, znajdujący się chwilowo wpobliżu, a Gryzelda była pewna, że i ptaki rodzaju męskiego, u otwartego okna na gałęziach siedzące — odpowiadały śmiejącej się pani innym szczebiotem, ptasim męskim śpiewem.

Gryzelda usłyszała raz przypadkiem, jak miejscowy rządea, były wachmistrz z pułku Bałachowicza, kozak posępny i mrukliwy, rażony tym śmiechem radosnym i zwycięskim, zagadał do kogoś ze służby w rodzimym języku:

— Ot, smiejotsia, toczno łoszad'!...

A w tonie, jakim te prostackie słowa były wypowiedziane, nie kryło się bynajmniej grubiaństwo człowieka z ludu, lecz jakby swoisty zachwyty syna stepu, który miłuje konia, jak kobietę, a kobietę znacznie mniej, niż konia.

Prędko i jakby pomimowoli wsiąkła Gryzelda w atmosferę domu Ewy. W parę dni po przyjeździe wiedziała już, że koleżanka miała w swem niedługim życiu wielkie powodzenie, że kochało ją wielu ładnych chłopców i paru pięknych ludzi, ubóstwiali ją własne dzieci, a tylko mąż w nerwowym tiku twarzy zamykał dosyć małżeńskie szczęście. Ale mąż był nieciekawym, lodowato uprzejmym i jakby czegoś zawsze zanadto zamyślonym.

Ewa, zapytana przez Gryzeldę o powód tego właśnie wyglądu i postępowania męża, odpowiedziała niefrasobliwie:

— Ach, on ma zupełnie inne usposobienie, niż ja; zajmuje się naukami hermetycznymi i ćwiczy wolę...

Ewa posiadała w życiu to wszystko, czego niedostawało Gryzeldzie, ale Gryzelda nie odczuwała z tej przyczyny urazy do losu, lub zazdrości względem szczęśliwej koleżanki. Przeciwnie. Można by powiedzieć, że Ewa była żywym i radosnym dopełnieniem Gryzeldy. A jeśli wybujała kobiecość Ewy zajmowała zawsze w domu i w towarzystwie zawiele miejsca i spychała skromną urzędniczkę w ciemny kąt, nie wywoływało to rozdzwiku między przyjaciółkami.

Dzień, w którym Gryzelda znieawidziła Ewę — pozostał na zawsze w jej pamięci.

Po południu padał deszcz i oczekiwani, jak zwykle, oficerowie z K. O. P. nie dopisali. Pan domu poszedł do siebie — hartować wolę na błękitną, damasceńską stał, dzieci zabrała bona, a Gryzelda po odbyciu krótkiej siesty, zaszła do pokoju Ewy, po klucz od biblijoteki. Zastąpiła ją zagłębioną w czytaniu jakiegoś listu. U stóp jej, na kilimie, leżała otwarta szkatuła, pełna papierów.

Gryzelda zapytała:

— W czym się pogrążasz?

Ewa spojrzała na nią oczami, pełnymi jeszcze obcych, nieczytelnych myśli, i naraz roześmiała się po swojemu.







Wnętrze Bazyliki N. P. Marji na Montserrat

PAULA LAMOWA

## U STÓP CZARNEJ MADONNY

Pireneje mają niewątpliwie większy urok od Katalonji, ale kraj Basków nie ma tak starych tradycji, ani nie jest opromieniony legendą średniowiecza.

Podobnie, jak Prowancja otworzyła drogę do chwały francuskim pieśniarzom, a narzecze ludowe w pieśni trubadurów przeszło do poezji, wraz z opowiadaniem o pięknej Meluzynie i czarowniku Merlinie, podobnie, jak ze starej Ligurji szła nietylko ku Francji, ale na cały świat umiejętność założenia domowego ogniska i unormowanego rządu — tak Katalonja, jako południowe przedłużenie Prowancji, przodowała całej Hiszpanji w tradycji, kulturze i cywilizacji.

Barcelona, która dziś sprawia wrażenie zupełnie nowoczesnego, modnego miasta, sięga swoim założeniem najstarszych czasów. Miasto to było w starożytności rzymską kolonią, potem stolicą państwa wizygotów, a ujarzmione przez maurów, odzyskało wolność dopiero dzięki pomocy Ludwika Pobożnego. Odtąd zaczyna się rozkwit Barcelony, stolicy Katalonji, która jest dziś głównym ogniskiem handlu i przemysłu Hiszpanji, a smukłe kościoły gotyckie o koronkowych fasadach i zjawiskowych witrażach, rozjaśniających mroczne wnętrza świątyń, górowały nietylko nad architekturą Hiszpanji, ale i Francji, w kunszcie strzelistych wieżyc i potężnej konstrukcji nawy.

Ale nietylko kościoły, świadectwo głębokiej wiary, pociągały pielgrzymów. Tłumy mijały Barcelonę, aby po drodze, prowadzącej wprost z miasta

i pnącej się serpentyną wśród bryłowato ułożonych skał, dostać się do cudownej patronki Katalonji, którą lud poufale nazwał „La Moreneta“, jako że postać Matki Boskiej była wyrzeźbiona w czarnym drzewie. „Nuestra Dona de Montserrat“ obrała sobie siedzibę na szczycie skał Montserratu, na górze, zwanej przez legendę Monsalwat, gdzie, jak głosi podanie, w monasterze św. Cecylii strzeżono czary św. Graala.

Do Czarnej Madonny i świętej relikwji ciągnęły od niepamiętnych czasów tłumy wierzącego chrześcijaństwa, lud i rycerstwo, bogacze i biedni, aby polecieć Morenecie swoje troski, prosić ją w gorącej modlitwie o pomoc w strapieniu i złożyć wota, na jakie kogo stać było. Dlatego w skarbcu bazyliki Patronki Katalonji znalazły się obok kosztownych darów ze złota i cennych kamieni, także wota, złożone przez biedaków w postaci przedmiotów z drzewa, wosku, rysunków, przedstawiających Marji ciężkie położenie rodziny lub człowieka, trawionego nieuleczalną chorobą, wreszcie listy, pisane do Morenety przez dzieci, proszące o zdrowie dla chorego ojca czy matki, w słowach o rozczulającej prostocie; listy żon, których mężów zabrano na wojnę i listy wydziedziczonych, wyklętych przez ludzi. Nie wiadomo, od którego wieku datuje się królestwo Doni z Montserratu, to jednak jest pewne, że w ósmym wieku odbywano już pielgrzymki do jej kaplicy. Wtedy pewnie rzeźba z czarnego drzewa, arcydzieło prymitywu, czarowała świeżością i prostotą swego niezwyklego wprost piękna.



Ale Katalonja wolała widzieć swoją Patronkę w ramach imponujących, godnych Królowej Niebios. W XVI w. z kamienia Montserratu zbudowano Morenecie bazylikę, a wspaniałą rzeźbę umieszczono wysoko nad ołtarzem, na drugim ołtarzu, dostępną tylko zdaleka dla tłumu. Ołtarz z ciemnego marmuru otoczono kolumnami, a tabernakulum i stopnie, prowadzące do cudownej Matki, wykuto z białego marmuru w celu uzyskania kontrastu z czarną rzeźbą. Z czasem przybrano przepiękną statwę w złoty płaszcz, tak długi, że zakrył nie tylko postać Matki Boskiej, ale i prowadzące do niej stopnie. Z cennej pamiątki sztuki starochrześcijańskiej została tylko widoczna twarzyczka Morenety, o wyrazie niezwyklej słodyczy i dobroci, i główka dzieciątka Jezus, trzymającego w lewej ręczce szyszkę pinji. Matka i Dzieciątko, w koronach z drzewa, sprawiają swą czernią w złocie wrażenie dziwnego majestatu i budzą w zwiedzających uczucie najwyższej adoracji. Hiszpańskim zwyczajem ludzie pobożni wchodzą na klęczkach do kościoła, niosąc w obydwu rękach zapalone świece woskowe, poczem wstępują po schodkach do wysokiego ołtarza i całują czarną rączkę Morenety.

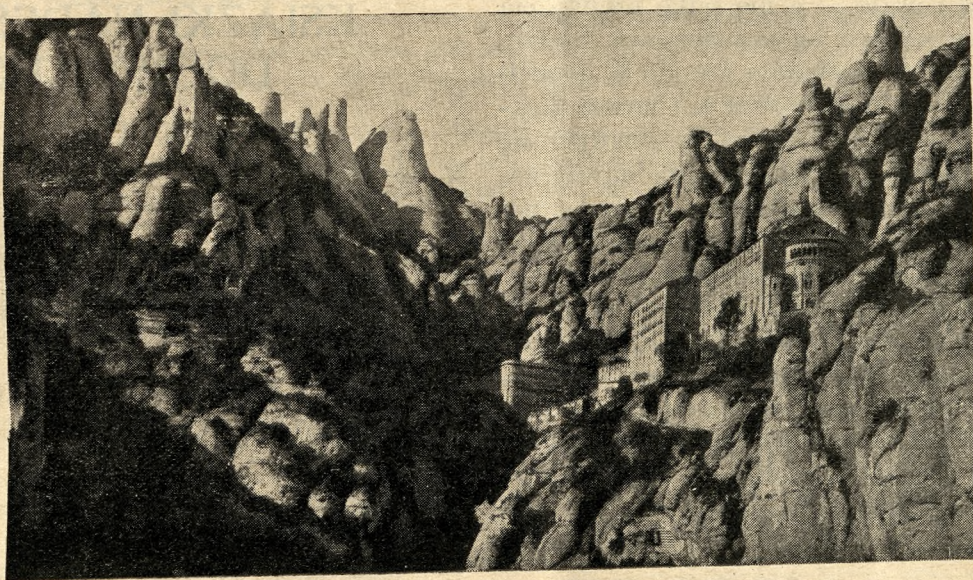
Niema chyba kościoła na świecie, w którym pobłogosławiono tyle związków małżeńskich, co w bazylice na Montserracie. Hiszpanie wierzą w to silnie, że związek, zawarty przed „Morenetą“, przynosi niezawodne szczęście. Dlatego z najdalszych okolic Hiszpanji przybywają na Montserrat młode pary, a narzeczoną na czas jakiś przed ślubem odbywa tam dobrowolnie przyjętą pokutę, ofiarowując ją Patronce Katalonji.

Klasztor ojców Benedyktynów na Montserrat pielęgnuje tradycje muzyki kościelnej na cześć Morenety, albowiem dla chwały Doni z Montserratu wybudowano tam w XIII w. szkołę muzyczną „Esco-



„Nuestra Dona de Montserrat“—Cudowna statua Madonny z Dzieciątkiem

lania“, w której przebywały dzieci w wieku od ośmiu do szesnastu lat. Chłopcy „Escolanji“ służą do mszy i śpiewają chórem, o jasnych, srebrnych głosach, doskonale wywiczonych. Dzieci te mają swoje tradycyjne święto 6 grudnia. W dzień św. Mikołaja wybrany spośród ich grona mały biskup obejmuje panowanie nad swoją diecezją dzieci, które noszą czarne sutanny i robią wrażenie małych kleryków. Wy-



Klasztor Ojców Benedyktynów na górze Montserrat



chowankowie „Escolanji“ idą potem w świat, jako doskonale wykształceni, zawodowi muzycy.

Jednakże, nietylko tradycje „Escolanji“ są magnesem dla melomanów. Montserrat uwieczniony jako średniowieczny Monsalwat w Parsifalu Wagnera, odżył w legendarnych scenach dramatu muzycznego o św. Graalu. Wielbicieli muzyki nie żałują trudu, aby po krętej ścieżynie górskiej dostać się do ruin monasteru św. Cecylji, ożywionych fantazją genialnego muzyka. Ale przeciętny śmiertelnik nie dostrzeże tam dziś nic, oprócz zwałisk i dzikich skał zamarłych w ciszy i spokoju.

## Ś. P. JULJAN FAŁAT

Białą płaszczyznę śniegu przecina w nagłym, ostrem, bolesnym niemal w swej kontrastowości, zestawieniu — czarna sylwetka żubra. Stojący przed tym obrazem widz otrzymuje jakby uderzenie w serce: to jest siła — to boli... a zarazem olśniony, mruży oczy. Jakież poczucie wartości tonu barwnego, jakąż małowówność przy osiągnięciu najwyższych możliwości w obrębie dwu tylko tonacji: czarnej i białej... Taki obraz — mimo, że niema w nim „barwnych“ plam — może zrobić tylko ktoś, kto przejmując wrażenia, tworzy, kto żyje — pod znakiem koloru. Ktoś, kto umie także z kilku małych, niedbale obok siebie rzuconych kleksików różnobarwnych — zrobić minjaturowy cud: akwarelę fałatowską.

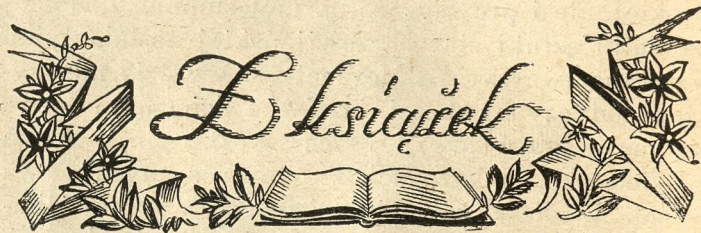
Juljan Fałat zmarł dn. 9-tego b. m. w Bystrej na Śląsku. Jest to strata dla sztuki polskiej niepowetowana. Fałat był jednym z niewielu malarzy starszej generacji, dla których malarstwo było pewną wartością absolutną, olbrzymim światem odrębnych, samoistnych celów i praw — a nie tylko pretekstem do wyładowania swych tęsknot uczuciowych, literackich czy filozoficznych poglądów i t. d. W przeciwieństwie do tak wielu utalentowanych nawet dawniejszych artystów polskich, którzy, posługując się pędzlem i farbą, gawędzą, pouczają, albo nawet starają się śpiewać lub grać (na płótnie!) — Fałat po prostu *tylko maluje*. Ale właśnie w ten sposób mówi swoim własnym językiem najpiękniejsze rzeczy.

Fałat jest przede wszystkim mistrzem akwareli. W tym gatunku malarstwa, który wymaga przede wszystkim wyrafinowanej subtelności barwnej, lekkości, płynności niejako pędzla, umiejętności żonglowania prosto pół- i ćwierć-tonami — nikt u nas, a i zagranicą bardzo niewielu, może mu dorównać. W szeregu jego doskonałych zresztą obrazów olejnych dają się wyczuć również wpływy techniki akwarelowej.

Ulubionymi jego motywami były sceny myśliw-

skie oraz pejzaże. Ostatnimi laty malował dużo widoków z Bystrej, gdzie mieszkał stale.

Ś. p. Juljan Fałat urodził się w r. 1853 w Tuliłowach, studjował w Krakowie i Monachjum, przebywał wiele zagranicą, odbył podróż naokoło świata w r. 1885. Krótko przed śmiercią udekorowany został orderem Polonia Restituta, oraz otrzymał dyplom profesora honorowego Akademji Sztuk Pięknych w Krakowie.



„Modlitwa Świętego Tomasza z Akwinu“ — przetłumaczyła Eleonora Reicher, przedmową opatrzył ks. prof. Wilhelm Michalski. Warszawa. Koło Studjów Katolickich. Druk Wł. Łazarskiego.

Święty Tomasz z Akwinu znany jest ogółowi wykształconemu przedewszystkiem, jako autor dzieła „Summa-theologica“, w której zamknął całą wiedzę teologiczną średniowiecza. W „Modlitwach“ wypowiedział się poeta, którego cała tkliwa i płomienna zarazem uczuciowość utonęła w Bogu. Wzruszającym jest zaiste to zestawienie surowej dyscypliny naukowej z dziecięcą ufnością i wiarą w jednym człowieku, którego słusznie nazwano „doktorem anielskim“.

Tłumaczka zachowała w przekładzie cały urok oryginału. Koło studjów katolickich wydało „Modlitwy“ ze szczególnym, zasługującym na uznanie pietyzmem. Po jednej stronie tekst łaciński, po drugiej polski; ex libris znanego malarza religijnego J. Rosena, stylizowane ozdoby według rysunków Fr. Siedleckiego, prześliczny format, układ i druk na papierze bezdrzewnym — składają się na całość, kusząc każdego bibliofila.

S. P. O.

## KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

KSIEGARNIA ŚW. WOJCIECHA.

- Marjan Pachucki: „Papież XI — żywot i rządy“.  
 Leon Halban: „Społeczne ideały chrześcijaństwa w pierwszych wiekach“.  
 Stanisław Heraklusz Lubomirski: „Piram i Tyzbe“ — z rękopisu Biblijoteki Kórnickiej, wydał Roman Pollak.  
 J. O. Curwood: „Szara Wilczyca“ — przekład autoryzowany Jerzego Marlicza.

KSIEGARNIA F. HOESICKA.

- Dr. Rudolf Sterner: „Filozofja wolności“ — przełożył M. K. Wołowski.  
 Ludwik Hieronim Morstin: „Kłos panny“ — powieść o Koperniku.  
 Zofja Rościszewska: „Tańce“ — poezje.  
 Emil Zagadłowicz: „Dęby pod pełnią“ — poezje.  
 Aleksander Kraushar: „Polki twórcze czasów nowszych“ — seria pierwsza.



## INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE“.

- Henryk Dupuy - Maznel: „Cud wilków“ — powieść — przełożył Kazimierz Bukowski.  
 Edgar Wallace: „Zagadkowa loża“ — powieść.  
 Edgar Wallace: „Ręka Mściciela“ — powieść.  
 Edgar Wallace: „Tunel Przestępców“ — powieść.  
 Emil Ludwig: „Syn człowieczy“ — powieść — przełożył Paweł Hulka - Laskowski.  
 Gustaw Freussen: „Sluga Boży“ — powieść — dwa tomy: „Pokój“ i „Wojna“ przełożył Leopold Staff.  
 Edgar Wallace: „Bractwo wielkiej żaby“ — przełożył Marceli Tarnowski.

## DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ.

- Joseph Conrad: „Ocalenie“ — opowieść z płytkiego morza z przedmową autora. Tłumaczyła z angielskiego Aniela Zagórska.  
 Narcyza Żmichowska (Gabriella): „Biała Róża“ — powieść z przedmową Boya - Żeleńskiego.  
 Kamil Giżycki: „Przez Urjanchaj i Mongolję“ (Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich).  
 Wacław Gąsiorowski: „Emilja Plater“ — powieść historyczna.  
 Marja Leszczyńska - Mittelstaedt: „Wielkie niepotrzebne“.  
 Ignacy Nikorowicz: „Nieśmiertelny kochanek“ (wyd. Zakładu Narodowego im. Ossolińskich).  
 Ludwika Jaholkowska - Koszutska: „O kobiecie współczesnej i o kobiecie przyszłości“.  
 Marja Dunin Kozicka: „Burza od Wschodu“ — wspomnienia z Kijowszczyzny.



Festival na cześć Wojciecha Bogusławskiego: „Cud niemiany“ — Wojciecha Bogusławskiego z muzyką Stefaniego — na rynku Staro Miasta.

Każde przedstawienie na rynku staromiejskim jest magnesem, przyciągającym zarówno smakoszy sztuki teatralnej, jak tłumy, żadne sensacje.

Już samo otoczenie tej największej w stolicy widowni pod gołym niebem budzi przedsmak niezwykłości. Świeżo polichromowane mury kamienic, stonowane przez mrok, inkrustowane topazami i krwawnikami oświetlonych okien — szlachetnieją, zatracają wrodzoną brylowatość i surową kancistość zarysów, odcieleśniają się, dematerializują niejako, nasiąkają powietrzem wieczoru i nabierają tej przejrzystości form, która z monumentalnych zabytków czyni nierealne zjawisko.

I ta właśnie, pozaprogramowa „commedia dell'arte“ żywych kamieni stanowi najcenniejszy bodaj motyw artystyczny wśród walorów wizualnych, jakimi bujnie szafować musi reżyserja każdego przedstawienia na Starem Mieście. Licząc się z warunkami miejscowej akustyki, działac musi przede wszystkim na wzrok widza, wrażeń słuchowym pozostawiając rolę wtórną, rolę akompaniamentu i tła, jaką, dajmy na to, w kinie odgrywała dotychczas orkiestra.

Plac miejski, choćby tak szczelnie omurowany, jak Sta-

re Miasto, jest polem bardzo niewdzięcznym dla solistów. Drobną tylko część słuchaczy mogła podziwiać wspaniałą dykcję i kunszt deklamatorski pani Przybylko-Potockiej przy wygłaszaniu przez nią prologu Or-Ota. Srebrny głosik Modzelewskiej dzwonił, jak skowronek, nad ciżbą ludzką. Co do pozostałych wykonawców, to brak akustyki był dla nich poprostu deską ratunku; ostatecznie, na rynku wolno się wydzierać i ludziom, nie mającym głosu, ale jak to będzie w teatrze? Jak w „Operze za trzy grosze“. Natomiast doskonale wymustrowane chóry, sprawna orkiestra i wszystkie zbiorowe wrzaski wyszły zwycięsko z próby przestrzeni.

W widowiskach na odkrytym powietrzu musi być zawsze dużo ruchu, barw, tłumy, tańców i zamieszania. Swoiste otoczenie nie usposabia bynajmniej widza do wnikania w subtelności psychologiczne i gorączkowego śledzenia za rozwojem akcji. „Cud mniemany“ jest właśnie taką lekką feerią wodewilowo-baletową, prymitywną w pomysłach, niewybredną w humorze i stąd wybór jej na widowisko rynkowe był wyjątkowo szczęśliwy.

Reżyserja trafnie obrała drogę najmniejszego oporu, posługując się szablonem najprostszyc efektów, obliczonych na szerokie masy. Tłumne przybycie górali, pochod kosynierów przez rynek, a zwłaszcza krakowskie wesele na trzech wozach drabiniastych, z łoskotem walących po bruku — było witane z tradycyjnym entuzjazmem.

Tańce zespołu Tacjanny Wysockiej dużoby zyskały na charakterze, gdyby strój tancerek nie był nadmiernie uwspółcześniony... od dołu. Zarówno bowiem dawne trykoty i spódniczka baletowa, jak i obnażenia nóg od pasa nie licują z krakowiakiem i mazurem. Przecież „Cud mniemany“ to, dla cudzoziemców szczególnie, też kawałek folkloru, i ten pietyzm, jakim dyrekcja otoczyła wszystkie pierwotne szczegóły sztuki, powinien być rozciągnięty i na kostjumy „tacjanek“.

S. P. O.

## TEATR LETNI

„Gorączka nafty“ — komedia amerykańska w 3-ach aktach Jacka Lari'ca. Przekład Kazimierza Bukowskiego. Reżyserja Janusza Warneckiego. Dekoracje A. Aleksandrowicza.

Premjera „Gorączki nafty“ zbiegła się z obezwładniającymi i ciało i ducha upałami i tem tłumaczy się rezygnacja, z jaką publiczność przyjęła to bezkonkurencyjne głupstwo. Okazuje się, że jesteśmy za starzy na komedje, pisane dla dużych dzieci przez siwe podłogi i sześćdziesięcioletnich młokosów, i że samo rzucanie w siebie poduszkami, wpadanie z głową w worki z mąką, ewolucje na drabinie i tym podobne frykasy amerykańskiej kuchni humoru — stanowczo nie nadają się dla naszych żołądków. Sztuka w samym założeniu jest pomyłona, wobec błędnego ustosunkowania się autora do tematu. Donkiszotyzm życiowy, tragikomiczna niewspółmierność marzenia i rzeczywistości — to wspaniały materiał do komedji psychologicznej o szerokim podłożu społecznym. Tymczasem autor go bezpowrotnie zmarnował, obszedł się z nim po prostacku, jak chłop z fortepianem. Wyrwał struny i w puście pudło nasypał rzepy. Nic dziwnego, że artyści grali na głuchej klawiaturze, a właściwie walili w nią bez skutku.

Z pod obucha farsowej barbarji wyszedł jeszcze jako tako bohater „Gorączki nafty“ — typ, dziwnie nam bliski i znajomy. Ten geometra fikcji, mierzący rzeczywistość skalą marzenia, ten poeta kalkulacji w próżni, finansowy król powietrza, dla którego każde lądowanie musi pociągnąć za sobą katastrofę, co za kopalnia komizmu, rzecz prosta, w dobrych rękach. Szkoda, że go nie zagrał Kurnakowicz.

Myśleliśmy dotąd, że Polska ma monopol na rasę milionerów in spe, którzy przez całe życie muszą pożyczać na obiad. Okazuje się, że i w Ameryce nie brak szczęśliwców, którym zawsze zamiast ropy tryska słona woda. Marna pociecha!

S. P. O.



# Kobieta w świecie i w domu

## KONGRES BERLIŃSKI MIĘDZYNARODOWEGO ZWIĄZKU RÓWNOUPRAWNIENIA KOBIET

Kongres został zwołany przez „Międzynarodowy Związek kobiet dla praw wyborczych oraz działalności obywatelskiej i politycznej kobiet“ („Alliance pour les suffrages et l'action civique et politique des femmes“). Związek powstał w r. 1904, czyli w okresie, kiedy równouprawnienie było jeszcze placówką do zdobycia. Obecnie, gdy ustawowo jest ono zagwarantowane w 25 państwach, Związek rozszerzył zakres swej działalności, włączając do niej pracę obywatelską i polityczną kobiet.

Na obchód 25-lecia założenia Związku przybyły do Berlina 234 delegatki stowarzyszeń afiliowanych z 44 państw i paręset delegatek ze stowarzyszeń pokrewnych. Polskę reprezentował „Związek pracy obywatelskiej kobiet“. Liczebnie przeważały organizacje niemieckie.

Mowę inauguracyjną wygłosiła p. Corbette - Ashby, pierwsza przewodnicząca Związku.

W imieniu rządu niemieckiego wital kongres minister Severing, który nie mógł się powstrzymać od aluzji do „narzuczonego“ Niemcom traktatu wersalskiego, wzywał rzesze kobiet do walki „o pokój prawdziwy i sprawiedliwy“ i wysuwał tezę uwzględniania na terenie międzynarodowym przede wszystkim spraw własnego narodu. Burzliwe owacje większości zgromadzonych i utrzymane w tym samym tonie przemówienia niektórych delegatek niemieckich świadczyły, że Niemcy z krzyżacką bezczelnością starają się wykorzystać każdy moment zetknięcia się z innymi narodowościami dla przeprowadzenia swoich idei szowinistycznych i imperjalistycznych. Kulminacyjnym punktem tej podstępnej propagandy był incydent w sprawie wniosku delegacji francuskiej. Wniosek ten, podkreślający znaczenie współpracy kobiet w życiu politycznym dla rozwoju pacyfizmu, kończył się zdaniem następującym:

„Pokój powszechny powinien być oparty na Lidze Narodów, która, pozostawiając każdemu narodowi wolność i samodzielność, utrwali stałe porozumienie między narodami“.

Przy tłumaczeniu tego wniosku na język niemiecki przekreślono jego brzmienie pierwotne w ten sposób, jakoby instancją rozstrzygającą miała być jakaś nowa Liga Narodów w poprawnej niemieckiej edycji. Po zrozumiałej burzy protestów, przewodnicząca przeprosiła kongres za ten „nietakt“ tłumaczek, którego przeoczenie mogło się stać doskonałym narzędziem w rękach sprytnych przemytników politycznych.

Pseudopacyfizm niemiecki wszędzie, gdzie może, pokazuje swoje kły i pazury.

### DELEGATKI MAŁEJ ENTENTY KOBIET O P. W. K.

(Wywiady specjalne u przedstawicielek ruchu feministycznego Rumunii i Czechosłowacji)

Delegatki „Małej Ententy Kobiet“ odwiedziły Wystawę Poznańską i wyniosły z niej niezatarte wrażenia. Zarówno przedstawicielki sąsiednich nam Czechosłowacji i Rumunii, jak dalekich — Grecji, Bułgarii i Jugosławii — zapewniały, że po powrocie do swych krajów mową i piśmem będą zachęcały rodaków do masowego odwiedzania Wystawy Poznańskiej.

Z wielu rozmów na ten temat podajemy oświadczenia głównych promoterek zjazdu.

Alexandra ks. Cantacuzène, delegatka Rumunii, powiedziała nam, żywo gestykulując:

— P. W. K. jest wspaniałem unaocznieniem odrodzenia Polski i najmowniejszą odpowiedzią niedowiarkom, wąpiącym o żywotności waszego państwa. Wywiera ona potężne wrażenie, pod którego wpływem dotychczas się jeszcze znajdują. Jest to bezspornie najpiękniejsza i najokazalsza z wystaw, jakie się odbyły ostatnimi laty. Wykresy i statystyki nadają jej przytem doniosłość naukową nieocenionej wartości.

— Co najbardziej uderzyło księżnę?

— Najbardziej podobał mi się pawilon prasy. Zwróciłam również szczególną uwagę na stoiska, poświęcone opiece społecznej, w której kobieta polska daje dowody ofiarnej pracy na niwie publicznej, ujawniając zarazem swą niesłychaną energję i płomienny patryjotyzm.

P. Anna Czerwona, delegatka Czechosłowacji, spokojna, zrównoważona i waząca każde słowo, mówi nam:

— Jestem olśniona i zdumiona P. W. K., która przewyższa swym ogromem urządzoną u nas w roku ubiegłym wystawę w Brnie. Podobały mi się zwłaszcza pawilony przemysłowe i prasowy. Z zachwytem oglądałam barwne kilimy, ukazujące niewyczerpane źródło pomysłowości i poczucia estetycznego polskiego ludu. Bardzo mi się podobał również dział, poświęcony koszykarstwu.

— Z którego działu wyniosła Pani najwięcej dla siebie korzyści?

— Osobiście szczególnie interesowałam się i podziwiałam dział szkolnictwa zawodowego, stwierdzając olbrzymie postępy, poczynione przez Polskę w tej dziedzinie, dzięki wydatnemu udziałowi kobiet. Z szacunkiem też oglądałam dział szkolnictwa komunalnego. Widziałam film, osnuty na tem tle, który naocznie nas przekonał, jaki ogrom pracy wkłada się w tę sprawę i jak piękną rolę odgrywa przy tem kobieta polska.

### DOBROBYT WSRÓD KOBIET AMERYKAŃSKICH

Dobrobyt i znaczenie kobiet amerykańskich wzrastają równomiernie w stosunku do ich pracy zarobkowej.

Połowę 454.596 pracowników amerykańskiego Towarzystwa telefonów i telegrafu stanowią kobiety. W Stalowie Zjednoczeniu Stanów Zjednoczonych pracuje 50.000 kobiet, a urzędniczki drogi żelaznej Pensylwańskiej stanowią 25%. Statystyka wykazuje, że obecnie w Stanach Zjednoczonych 41% zarobków otrzymują kobiety.

W 1926 r. kobiety zapłaciły 5.297.527.089 dolarów podatków, przyczem nie brano w rachubę podatków, opłacanych wspólnie przez małżeństwa.

Porównawcza statystyka wykazuje, że 44 kobiety płaciły podatki od miliona dolarów dochodu, 139 kobiet od — 500.000 dolarów. Tymczasem takż podatek od miliona dolarów opłacało 42 mężczyzn, a 125 — od pół miliona.

Ze dobrobyt w Ameryce coraz bardziej biorą w swe ręce kobiety, dowodzą polisy asekuracyjne. Wypłacono już miliony kobietom, a na 95.000.000.000 dolarów z polis asekuracyjnych 80% napewno przejdzie do rąk kobiet, przyczem 70% otrzymują kobiety ze spadków męskich, a 64% ze spadków kobiecych.

Do tych milionów, otrzymywanych drogą spadków, ubezpieczeń, oszczędności i t. p. dodać należy miliony, zarabiane przez kobiety. Pracą zarobkową zajmuje się 8.500.000 kobiet.

Aczkolwiek trudno przesądzać, aby miała nastąpić era finansowego matryjarchatu w Stanach Zjednoczonych, jednak, opierając się na obecnych statystykach, można się spodziewać, że w 2025 roku cały majątek Stanów Zjednoczonych spocznie w rękach kobiet, o ile zgarniać go będą w tem samym tempie.

M. D.





*Pierwszy kurs gotowania dla pań z inteligencji — zagniatanie ciasta*

## PIERWSZA PRÓBA

*(na marginesie pierwszego kursu gotowania dla pań z inteligencji K. O. G. D.)*

Warszawa ma jedną tylko szkołę kucharską, pani Marty Norkowskiej, zasłużonej na polu gospodarczego wychowania kobiet. Jest to kropla w morzu potrzeb kobiet współczesnych, mających nieumiejętną i niechętną do pracy służbę, a nie umiejących sobie radzić same. Zresztą z każdej szkoły korzystać mogą osoby, wolne od zajęć zawodowych i nawet codziennych prac domowych, gdyż szkoła wymaga poświęcania poranków codziennie przez dłuższy okres czasu. Dla kobiet, pracujących w biurach, studentek, pań domu, zajętych dziećmi i gospodarstwem

— taka szkoła jest zupełnie niedostępna. Zanim na koniec, u steru szkolnictwa stojący ludzie zrozumieją, że umiejętność ugotowania najzwyczajniejszego obiadu — umiejętność, którą, nawiasem mówiąc, posiada każda francuzka i każda niemka — jest równie ważna, jak matematyka, historia lub literatura — trzeba zaradzić naglącej potrzebie, urządzając całe szeregi kursów wieczornych. Mogą i muszą one być różnych typów w zależności od tego, czego ich słuchaczki będą żądały.

Idealem byłoby dać w ciągu kilku tygodni, lub



*Wykład p. E. Kierwnarskiej (pani Elżbiety)*



*Wykład p. J. Czechowskiej*





Smażenie sznycli

kilku miesięcy całokształt wiadomości teoretycznych i praktycznych, potrzebnych współczesnej gospodyni do prowadzenia domu. Tego rodzaju kurs próbny zorganizowała ubiegłej jesieni Rada Naczelna Gospodarczego Wykształcenia Kobiet wraz z Instytutem Naukowej Organizacji Pracy. Program bogaty i głęboko przemyślany zajmował jednak wszystkie wieczory tygodnia, czyli zmuszał słuchaczki do zupełnego porzucenia wszelkich innych zajęć popołudniowych, czego skutkiem było bardzo częste opuszczanie wykładów. Wysoki poziom wykładów i ich wielka różnorodność wymagała dużego rozwoju umysłowego, aby tyle wiadomości naraz przyswoić.

Tego lub podobnego typu kursy są koniecznie potrzebne dla osób, którym chodzi o skompletowanie wiadomości, o ujęcie całokształtu współczesnego gospodarstwa domowego. K. O. G. D. projektuje urządzenie takich kursów tej jesieni jeszcze, dodając do innych przedmiotów jeszcze naukę pielęgniarstwa w zastosowaniu do niemowląt i drobnych dzieci. O tem jednak obszerniej przed otwarciem tych kursów będzie czas pisać.

Jest cały szereg osób — od młodziutkich panienek zaczynając, a na poważnych kobietach, matkach rodzin kończąc — które mają o wiele skromniejsze wymagania: ich ambicją jest wprost tylko nauczyć się gotować. I te się dzielą na wyraźne dwie grupy. Takie, co zielonego pojęcia o gotowaniu nie mają, co kaszki ugotować i jajecznicę usmażyć nie potrafią, i takie, które codzienne dania przyrządzić lub ich ugotowaniem zarządzić umieją, lecz chciałyby się tylko wydoskonalić w sztuce kulinarnej, nauczyć potraw wykwintniejszych, ich podawania, ubierania półmisków i t. p.

Dosyć trudno jest pogodzić wymagania i potrzeby obu grup. Bo jeżeli dla pierwszych trzeba zacząć od alfabetu kulinarnego — to drugie ten alfabet nudzi, radeby od razu przejść do pasztetów, majonezów i wykwintnych legumin.

Pierwsza próba pokazała, że jednak należy się przede wszystkim stosować do potrzeb tych nie umiejących słuchaczek i przechodzić systematycznie od najłatwiejszych i najmniej skomplikowanych dań do coraz trudniejszych, gdyż inne traktowanie programu nada mu charakter zupełnie wypadkowy. Dla osób, już obznajomionych z kuchnią, odpowiednie byłyby zajęcia grupowe — tylko dwie lub trzy lekcje kilkogodzinne — w takim rodzaju, jak dwie lekcje pieczenia ciast wielkanocnych, dodatkowo przy kursie zorganizowane. Można by dać w nich naprzykład: trzy obiady wystawniejsze, lub też trzy kolacje gorące, lub bufet zimny, czy dwa śniadania „à la fourchette” i t. p.

Jest objawem smutnym, że nie wszystkie panie, pragnące nauczyć się gotować, chcą zrozumieć, że przy dzisiejszym stanie nauki kucharskiej pewne zasady, pewne podstawowe wiadomości teoretyczne są niezbędne, i uważają za balast wykłady najlepszych specjalistek, opuszczając je lub późniąc się na nie w taki sposób, że żadnej z nich korzyści nie odnoszą.

W kursie czysto praktycznym, z natury rzeczy na wykłady teoretyczne mało można poświęcić czasu. Tem bardziej czas ten wyzyskać należy. Każde słowo nauki o odżywianiu, o dietetyce, o normalizacji pracy przy gotowaniu, o urządzeniu kuchni, o narzędziach, ułatwiających pracę osoby gotującej, o sztuce praktycznego robienia zakupów — powinno być zapamiętane i zastosowane.

A rachunkowość, podstawa wszystkich dobrze prowadzonych gospodarstw? Jakże mało uwagi do niej się przywiązuje i jak mało gospodyń umiejętnie ją prowadzi!

Większość słuchaczek uważa, że nauka gotowania powinna się składać z największej ilości smacznych przepisów, przerobionych na lekcji i skrzętnie wynotowanych w kajecie. Otóż tak nie jest wcale. Chcąc się nauczyć gotować, należy zapamiętać czynności zasadnicze, wykonywane przy przyrządzaniu



Przyrządzanie zupy



podstawowych, wzorowych potraw, a poszczególne przepisy znajdziemy w każdej praktycznej książce kucharskiej i, mając już trochę pojęcia o kuchni, będziemy mogły w domu się doskonalić i do nieskończoności urozmaicać nasze jadłospisy.

Znakomity paryski profesor, dr. Pomian-Pożerski, całą naukę gotowania sprowadza do pięciu czynności podstawowych: gotowania, smażenia, pieczenia, duszenia i emulsjonowania (zaprawiania), a jego uczniowie i uczennice, uzbrojeni w dokładną umiejętność tych czynności, wykonują sześćset potraw według zwykłej książki z przepisami.

Więc najważniejszą rzeczą jest przedewszystkiem wyciągnąć jaknajwiększą korzyść z krótkich wykładów teoretycznych, a następnie nabrać jaknajwięcej wprawy w wykonywaniu czynności, związanych z gotowaniem; mnogość potraw i przepisy znajdzie się w całym szeregu dzieł kulinarnych, których nie mamy wprawdzie tyle, co inne państwa europejskie, ale które są do naszego smaku i naszych gustów bardziej zastosowane.

Francuskie przepisy są zbyt skomplikowane, zbyt drobiazgowo, że tak nazwę; niemieckie — dziwnie smaku pozbawione; angielskie — mało urozmaicone; amerykańskie — na nasz gust wprost niejadalne. Najlepsze są wiedeńskie — z nich czerpią pełną garścią książki kucharskie, we Lwowie wydane. No i jeszcze włoskie, w których widzimy nasze rosoly, sztufady i pierożki z mięsem, przywiezione do nas przez królową Bonę.

*Pani Elżbieta.*

## ZYWE FUTRA NA P. W. K.

Pawilon drobnego inwentarza zdaleka daje znać o sobie rozgłośnym ptasim „jazz'em”. Na tle cokolwiek chrypliwego akompanjamentu kwakania i gęgania, pięknie i czysto rozbrzmiewają donośne tenory i barytony swojskich „Chanteclair'ów”. Powstaje dziwna symfonia, wielce zgiełkliwa, lecz bynajmniej nie przykra dla ucha. Ptasi „jazz”, choć zapewne wyraża protest, pełen jest żywiołowego „joie de vivre'u”.

— A to ci kapela! — konstatuje z satysfakcją jakiś andrus, o rdzennie nadwiślańskim akcencie. Widać, że zainteresowanie P. W. K. obejmuje wszystkie stany i sfery.

Mijając hałaśliwe szeregi klatek z ptactwem domowym, zwalczam mężnie pokusę wystawiania przez długie kwadransy przed każdą z nich i napawania się do syta pięknocią wspaniałych kogutów: złotorudych, czarnozielonych, srebrzysto nakrapianych, śnieżnobiałych... strojnych w przepych szkarłatnych grzebieni. Gdy się takie dwa olbrzymy napuszą i nasrożą ku sobie, usiłując stoczyć bój po przez pręty drucianej klatki, wyglądają, jakby pozowały do artystycznej wycinanki. Ich przepyszne



*Dama w futrze z szopów karmi żywego szopa w klatce*

upierzenie może stanowić niewyczerpane źródło natężenia dla malarza-kolorysty. Ale ja nie umiem malować i rozporządzam ograniczoną ilością czasu.

Śpieszę do zwierząt futerkowych, wiedziona ciekawością natury czysto praktycznej: czy rzeczywistość może być mowa, już nie o samowystarczalności, lecz wogóle o jakiegokolwiek produkcji futer w kraju?

Przedewszystkiem oglądam króliki, ten proletarjat świata futranego, co z taką rezygnacją pozwala się po śmierci prefarbowywać i przemianowywać na najbardziej odmienne stworzenia. Przekonywam się odrazu, że i tu istnieje hierarchja ras — proletarjat i arystokracja. „Karzelki polskie” i „olbrzymy belgijskie”. Króliki-„bobry” i króliki-„szenszyle”, zgóry predestynowane na taki, a nie inny pośmiertny użytek.

Szkoda, że nie wszystkie nazwy gatunkowe tłumaczą tak dobitnie, jakie jest ostateczne przeznaczenie danej odmiany, a żadnych informacji niepodobna się doprosić. Biedne trusie siedzą cichutkie, zrezygnowane i zupełnie obojętne na to, co z nich spreparują po śmierci: pasztet z zająca, czy futro z lampartów. Jedno jest zupełnie pewne, że nigdy nie będzie im dane wystąpić we własnej postaci.

„Wiedeńskie niebieskie” wyglądają coś na to, jakgdyby z nich miały być ciemne popielice. „Wiedeński biały” strzyże długimi, różowemi słuchami, przypominającymi płatki jakiegoś egzotycznego kwiatu, i zezuje zalotnie oczkami, jak szafirowe paciorki; będą zeń zapewne gronostaje. „Rexy”, odmiana widać rzadka, bo niezmiernie kosztowna (600 zł. sztuka), prezentują piękne futerka o krótkim i niezmiernie gęstym włosie. „Castorrex” przypominają do złudzenia najwspanialsze siwe bobry. Z czarnych „rexów” będą niewątpliwie foki, i to nie z tych najtańszych. Króliki „podpalane” (black and tan) po śmierci zamieniają się z powodzeniem w wydry.



Najwięcej zastosowań znajdują długowłose króliki „Angora“, prześliczne, nieprawdopodobnie puszyste. Po najdłuższem życiu będą pewnie udawały białe lisy, lub conajmniej kozy amerykańskie. Lecz i podczas doczesnego żywota stanowią one pokaźne źródło dochodu dla swych szczęśliwych posiadaczy. Sierść ich, otrzymana drogą wyczesywania, sprzedaje się w kraju po 100 zł. kilogram. Jeden królik daje 200—300 gramów sierści rocznie.

Z tych to króliczych wyczeszków powstają te bajeczne trykoty „Angora“ oraz włóczka do haftów, mających właściwość puszystego rozpylania się do nieskończoności. Doniedawna te tkaniny i przędze „Angora“ stanowiły jedną z groźnych pozycji importowych. Życzyć więc należy puszystym, czerwonym królom, aby się jaknajdoskonalej zaaklimatyzowały na naszej ziemi i rozmnażały się, jak... no, jak króliki. Zdaje się, że już szybciej nie można.

Uczyliłam dużo daremnych wysiłków w celu dowiedzenia się, jakie króliki mają najodpowiedniejszą sierść do tłoczenia filców, i jaką drogą się ją uzyskuje: wyczesywaniem żywych królików, czy też stryżeniem futerek, przeznaczonych na imitację zwierząt krótkowłosych. Produkcja jaknajwiększej ilości prawdziwego filcu w kraju miałaby pierwszorzędne znaczenie, bo dotychczasowe wytłoczyny z wojłoku, sprzedawane pod nazwą „filcu krajowego“, nie mogą wytrzymać konkurencji z prześlicznymi „feutre“ami francuskimi.

Od królików idę złożyć wizytę najwyższej arystokracji pawilonu drobnego inwentarza — srebrnym lisom. Idę, pełna współczucia. Myślę o tem, jak to zapewne bardzo przykro być lisem, słuchać przez cały dzień urągłej orkiestry ptasiego podwórka i... nie móc nikogo zjeść! Ale lisy nie zdają się bynajmniej podniecone bliskością takiej ilości drobiu. Wyglądają na zupełnie zblazowane i śmiertelnie znużone. Widać, że upał daje się im nie na żarty we znaki.

Papa i dwa młode leżą rozrzucone po klatce, splaszczone, jakby nieżywe. Są czarne, z białymi pomponami na końcach kit i odrobiną srebra w zmierzwionej i skołtunionej sierści. Lato nie jest porą, w którejby się mogły zaprezentować awantazownie. Lisia maman, z iście kobiecą kokieterją, schowała się do drewnianej budy, nie chcąc pokazywać się publicznie w niedoskonałej formie.

W sąsiedniej klatce spaceruje bardzo zdenerwowany i ogromnie przystojny, brunatny szop. Jest to zwierzak, podobny do borsuka, o ostrym ryjku i długim włosie, cieniowanym brunatno i płowo. Stary, czarny szop sprawia wrażenie skończonego melancholika. Zato dwa młode ruszają zabawnie wąsami i spoglądają na publiczność figlarnie i ufnie, jak kociaki. Futra szopów, bardzo modne obecnie, należą do najtrwalszych z futer długowłosych: są niemal tak praktyczne, jak skunksy.



Oswojony lisek na rękach pani, marzącej o... srebrnym lisie!

Jest i nurek — maleńki, brązowy i bardzo niezależny — najadł się surowego mięsa i śpi, jak zabity. Młode kuny, daremnie czekające na okazję dobrania się do gardła kokoszkom, narazie grzecznie piją mleko z podawanego im spodeczka, zupełnie, jak domowe szczeniaki.

Widziałam i polskie karakuły, a jakże. Czarne i kasztanowate. To jest właściwie widziałam tylko ich skórki. Obecny przy stoisku właściciel (zjawisko niezmiernie rzadkie) poinformował mnie uprzejmie, że jagnięta karakułowe muszą być zabijane najdalej w trzy dni po urodzeniu. Morowaty „breit-szwantz“, po polsku „strutka“, jest rezultatem przedczesnego porodu, czyli poprostu poronienia owcy. Dorosłe owce karakułowe są jeszcze kosmatsze i jeszcze bardziej kołtuniaste, niż inne ich siostrzyce. Niech tam zresztą będą, jakie sobie chcą, najważniejsze jest to, że mamy własne karakuły i możemy ich mieć coraz więcej.

Żywe futra, które obejrzałam podczas wystawy hodowlanej, pocieszyły mnie w zupełności po smutnem wrażeniu, jakie odniosłam w pawilonie XV-ym, gdzie obok wspaniałych skór, imponujących ilością i jakością, pokazano bardzo niewiele, bardzo skromnych i zupełnie zagranicznych futer.

Jadwiga Kiepnarska.



## VIII. JESZCZE RAZ O OSZCZĘDNOŚCI

Pojęcie oszczędności kojarzyło się dawniej w wyobraźni gospodyni z rachunkami, które się nigdy nie zgadzały, z drobnymi, groszowymi oszczędnościami, graniczącymi nieraz ze skąpstwem, lub z mniejszym zużyciem produktów, aniżeli zachodziła istotna potrzeba.

Czasy powojenne przewartościowały także pojęcie oszczędności. Dziś chodzi o rozumne wydawanie pieniędzy i towaru, gdyż obecne warunki ekonomiczne zmuszają nas wprost do tego, a nadewszystko — o zorganizowanie całokształtu życia domowego w jego najdrobniejszych przejawach i o stosowanie wszelkich nowoczesnych zdobyczy, opracowanych teoretycznie i wypróbowanych praktycznie.

Pani domu musi dziś znać doskonale nie tylko metody i systemy prowadzenia domu, ale nadewszystko musi być mądrą organizatorką i administratorką. Pamiętać powinna, że składową częścią każdego społeczeństwa jest rodzina. Od dobrobytu zatem poszczególne rodziny zależą będzie dobrobyt całego społeczeństwa.

W Niemczech np. przez ręce kobiet przechodzi rocznie 16 miliardów marek, zrozumiała zatem jest rzeczą, że suma ta odgrywa poważną rolę w ogólnopolskiej gospodarce.

System domowego gospodarowania jest dziś zupełnie inny, aniżeli dawniej, kiedy wytwarzano wiele rzeczy w domu. Dziś gospodarowanie zasadza się na umiejętnym spożywaniu. Ten system, przyswojony w miastach, przenika coraz bardziej do wsi, gdzie powstają liczne spółdzielnie, ułatwiające pracę jednostkom. Taka masowa produkcja jest o wiele tańsza. Np. wszelkie konserwy, przetwory owocowe i warzywne, różne przyprawy gotowe, które to wyrchy cieszą się w Ameryce niesłychanym powodzeniem, wobec tego, że wiele kobiet, a nawet mężczyzn samotnych, zmuszonych jest do prowadzenia gospodarstwa bez służby. To samo dotyczy wytwarzania gotowej konfekcji.

Taki stan rzeczy sprawia, że zakres kobiecej pracy domowej jest coraz mniejszy, tembardziej, że i mechanizacja urządzeń gospodarskich robi coraz większe postępy.

Dlatego też taki nacisk kładzie się obecnie na kobiecą administrację domową i tak wiele od niej zależy. Jak już niejednokrotnie zaznaczaliśmy, dobra gospodyni (nie należy przesądzać, aby dobra kucharka miała być też dobrą gospodynią!) musi być kierowniczką całego domu i obowiązana jest wprowadzać w czyn należyte zrozumienie nowoczesnego systemu oszczędzania czasu, pracy, sił, towaru i przykrości, no i naturalnie — pieniędzy.

Stwierdzono statystycznie, że w Niemczech 11 milionów kobiet staje codziennie przy stole kuchennym. Jeżeli zatem każda gospodyni potrafi zaoszczędzić 10 fenigów, wyniesie to rocznie 400 milionów marek oszczędności.

Rozumna oszczędność polega na planowości, na odkładaniu pieniędzy na pewne, ściśle określone cele. Ten system ma duże znaczenie przy wychowywaniu dzieci. Dziecko, wczesnie przyzwyczajone do składania groszy do skarbonki na jakąś upragnioną rzecz, widząc, jak z groszy urasta potrzebna mu suma, nie wydaje tych groszy na różne głupstwa lub na słodycze. Widząc, że zapomocą tych groszy dochodzi do zdobycia wymarzonej rzeczy, zachęca się coraz bardziej i do oszczędności wraca. Wychowanie dzieci w tym kierunku zależy wyłącznie od matki.

Umiejętne odkładanie grosza przez dorosłego człowieka zabezpiecza go w potrzebie, na wypadek choroby, na starość, ułatwia odpoczynek, dopomaga do wychowania i wykształcenia dzieci i t. p.

Ale oszczędzać może tylko ten, kto umiejętnie wydaje. A wydawać umiejętnie można tylko na podstawie racjonalnie ułożonego budżetu. Kobieta, jako domowy minister skarbu, musi mieć budżet ściśle ułożony, świadomość wpływów, wydatków i rubrykę nieprzewidzianych pozycji. Prowadzić powinna księgowość, dzieląc wydatki na dzienne, miesięczne z podziałem na rodzaj, ilość i t. d. Nabycie „Książki rachunkowej kobiety polskiej” (Tow. Wyd. „Bluszcz”) ogromnie pracę tę ułatwi.

Przy takim systemie można mieć ścisłą kontrolę nad wydatkami. Nadmierny wydatek w jednej pozycji od razu rzuci się w oczy, można go będzie zrównoważyć przy pomocy innej pozycji, chcąc utrzymać równowagę budżetu.

Jak wielką wagę przywiązują na Zachodzie do dobrze ułożonego budżetu, wystarczy powiedzieć, że w Ameryce są banki, które mają biura porad domowych, dopomagające klientom w układaniu budżetu i posiadające specjalne działy budżetowe, np. ubraniowy. Rząd amerykański nadzwyczaj energicznie popiera całą akcję oszczędnościową.

Przy racjonalnem wydawaniu, kontrolowanem zapomocą ścisłych rachunków, może pozostać remanent na następny miesiąc. Można go użyć na jakiś większy wydatek, jakiś ściśle określony cel. Zawsze jednak najlepiej złożyć zaoszczędzone pieniądze do kasy, aby się przypadkiem nie „rozlaży” i żeby cokolwiek procentowały. Z tego też względu ważnem byłoby wprowadzenie systemu czekowego, który dałby się zastosować przy pewnych wydatkach i zakupach. System ten jest ogromnie rozpowszechniony w Anglii i cieszy się tam wielkiem uznaniem, sprzyja bowiem zarówno interesom jednostki, jak i ogółu.

Wadliwe natomiast jest kupowanie na książki miesięczne, gdyż kupiec, udzielając kredytu, musi w obronie własnego interesu tak przeprowadzić kal-



kulację, ażeby nie ponosić strat. To samo da się powiedzieć o kupowaniu na raty, które wprawdzie ułatwia często nabycie jakiegoś większego przedmiotu, ale kosztuje jednak zawsze drożej.

Moralnością kupowania powinno być odrzucenie kredytu i kupowanie tylko tego, co może być natychmiast zapłacone. Wszelkie bowiem długi i raty są bardzo uciążliwe i przykre. Dobrą gospodynią powinna obowiązywać zasada: najpierw rozumnie zaoszczędzić, a potem kupować.

Z tego wszystkiego, cośmy na temat oszczędności mówili, wynika jasno, że ten system jest nieodzowny w życiu każdej jednostki gospodarczej, a że z tych jednostek składa się cały naród - państwo, — więc, oczywiście, stosować się do tego systemu jesteśmy obowiązani ze względu na ogólnopństwowe interesy.

M. Dobrowolska.



### ZUPA JARZYNOWA

Ugotować na smak kilka młodych marchewek, dwie młode cebule, parę pietruszek i dużą gałązkę kopru. Pół kilo groszku zielonego wyluskać ze strączków, pousuwać pergaminowe wewnętrzne łuski i strączki te ugotować wraz z włoszczyzną. Gdy wszystko miękkie, przetrzeć przez sito, podlewając smakiem. Oddzielnie ugotować na miękko wyluskany groszek z łyżką masła i łyżeczką cukru, zalewając go smakiem z jarzyn w takiej ilości, aby objęło. Gdy miękki, złączyć z resztą zupy. Zapalić zupę łyżką mąki i łyżką masła, zagotować. Na litr i ćwierć zupy, rozbić dwa żółtka z pół filiżanką śmietanki lub dobrego mleka, zaprawić tem zupę, rozgrzać mocno, lecz więcej nie gotować. Podać z grzankami z bułki, zrumienionymi w maśle.

### GOŁĄBKIE NA SPOSÓB KUROPATW.

Młode gołąbki, starannie oczyszczone, nasolić, skropić octem i potrzymać tak ze trzy lub cztery godziny, Zawinąć każdego z nich w płatek wędzonej słoniny i upiec w piecu. (Jeśli nie jesteśmy pewni, że są bardzo młode, lepiej udusić w rondelku). Gdy miękkie, posypać łyżką mąki, podlać rosółem lub wodą z kawałkiem suchego buljonu, zagotować, zaprawić szklanką śmietany (na 5 — 6 gołąbki). Sos zaostrzyć odrobiną białego pieprzu (zastępuje on jednocześnie gorzki pieprz i ziele). Tymczasem nakrajać grzanek z białego chleba dwa razy tyle, ile mamy gołąbki. Zrumienić je na maśle lub na topionej, świeżej słonince. Gołąbki przekrajać na połówki, każdą połówkę położyć na grzance, przykryć płatkami uduszonej razem słoninki, polać obficie sosem. Obłożyć takimi gołąbkami młode buraczki, duszone ze śmietaną, lub podać do nich sałatę ze śmietaną, czy jakiś kompot. Smakują wybornie; starannie przyrządzonych nikt od kuropatw nie odróżni.

### DZIKIE KACZKI PIECZONE.

Młode, dzikie kaczki po oskubaniu opalić i bardzo starannie oczyścić z supłów, których jest mnóstwo. Upiec je po osoleniu z masłem lub słoninką. Gdy miękkie, wyjąć na deskę, przekrajać na cztery części, położyć na półmisek i postawić w ciepłe. Tymczasem do tłuszczu, w którym się piekły kaczki, wsypać dużą łyżkę mąki, zasmażyć, rozprosząc rosółem lub wodą, zagotować. Mieć przygotowane (na cztery kaczki), skórki z dwóch pomarańcz (same żółte ich części), drobniuchno pokrajane w paski, wrzucić te skórki do sosu i dusić wolno pięć minut. Wsypać łyżkę cukru, wcisnąć sok z cytryny, jeszcze raz zagotować i polać tym sosem kaczki. W braku świeżych skórek pomarańczowych można użyć smażonych w cukrze, ze świeżymi jednak sos ten jest smaczniejszy. Do takich kaczek jedynym możliwym dodatkiem jest ugotowany włoski lub domowy makaron.

Pani Elżbieta.

**WŁOSÓW** WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJA  
ESENCJA I MYDŁO  
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).  
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE  
I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:  
APTEKA A.GAŚECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.

**HEMOROIDY** CZOPKI „VARICOL”  
HEMOROIDALNE.  
USUWAJĄ BÓL, SWEDZENIE, PIECZENIE I KRWA-  
WIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZEDAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY —  
APTEKA A.GAŚECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.  
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”

### WARUNKI PRENUMERATY

\* kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa. Plac Zamkowy 9. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.  
Redaktor: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW  
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.  
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Remaska 8 tel. 244-18.



# Nasza Mównica

## To wy się zreformujcie!

Wiosna! Wiosna, rozpostarła skrzydła nad światem. Wiosna!

Wszak to świeże podmuchy zdali płynących marzeń; piosenek o szczęściu, o miłości, doli i niedoli tułaczek; o królu i królowej, co wcale królestwa nie mieli; on zwał się Wartogłowa, a ona, oczywiście, to miano z nim dzieli; miast berła, mają patyk w ręku i jabłko, co się mile z zeszlórocznej jesieni do nich uśmiecha. Patyk się złamał, a jabłko zaczęło się na swe pierwotne rozkładać czynniki, trza było je czemprędzej zjeść, albo wyrzucić!

Wiosna, ach wiosna, wśród przygrywań chłodnego wiatru, i uśmiechów białych, niewinnych płatków śniegu, wychodzi z Hadesu od małżonka swego, by witać stęsknioną macierz! Co poezji, co szczęścia i jakaż nędza wyjątkowa!

„Zawczasie kwiatki, zawczasie! jeszcze północ mrozem dmucha“... i t. d. ze słowami wieszczą!

I dla nas zawczasie. Boże! że też — kobieta chce dorównać mężczyźnie, panu stworzenia, temu półbogowi!

Kobieta!? Ten łachman marny, ta niewolnica, to świecidełko, ta miła grzechotka, podana półbogowi w chwilach nudy i rozterki ducha, lub... no, dosyć, nie trzeba się zagłębiać w zbyt szczegółową analizę.

Zawczasie kwiatku, zawczasie! może, naprzykład, z wiosennego nieba, pomimo braku upałów, spaść piorun i to piorun rażący; trzeba stłumić to niebezpieczeństwo, bo skąd!?

Jeszcze promienie złotego słońca nie rozgrzały zimnych jezior, jeszcze rzeki nie posyłają w przestworza swych przebogatych tęsknot, jeszcze niema mowy, jeszcze piorun daleki; jeszcze, jeszcze można uśpić co? — a no — jeszcze wrzeczydże zardzewiałe, a skarby, moc skarbów, leży w szkatule; dopiero, dopiero, no, jeszcze ostatniego skrętu w zamku nie uczyniono; — zatrzasnąć, czemprędzej zatrzasnąć, choć przez szpary blask bije od złota i drogich kamieni, oślepiający blask, który może zepsuć i oślepić sokoli wzrok półbogów!

Zmniejszyć, czemprędzej zmniejszyć program nauk dla szkół żeńskich; co się nieopatrnie zrobiło — odrobić, uratować — jeszcze czas!

Niestety, przez szpary światło bije, przedziera się, w szparach już złoto, dużo złota, jak lawa, bucha i nie da się odrobić; wieko uniesione!

Szanowni Panowie, nie tędy droga! Choć jeszcze suknie nasze może zbyt barwne, starą pleśń je-

szcze blask złotego słońca nie do cna wysuszył — jednakowoż — jednakowoż...

Szanowni panowie, nie tędy droga!

Kiedys, jeszcze przed wojną, jakaś rewolucyjna bibuła wpadła w ręce mego dziadka, i powiedział, że źle się dzieje, czyli raczej, że źle się dzieć zaczyna, a tam było tylko takie zdanie: „Gdyby koń znał swoją siłę, nie dałby się bić i wyzyskiwać“.

Otóż, my poznałyśmy ogrom naszej inteligencji, intuicji i walorów duchowych, któremi wyście się karmili, moi panowie, i uważaliście za swoje!

Jednak ta pogardzana, uciśniona i wyzyskiwana kobieta potrafiła stać się wynalazczynią na polu nauki, potrafiła zastąpić mężczyznę w jego wyczerpujących obowiązkach w walce o byt i potrafiła przytem wypełniać swoje kobiece obowiązki; a wy rzeczywiście, słusznie nazywacie się półbogami, tak: jesteście pół, ale półludźmi!

Otóż, jeżeli ma się zmienić program, to nie w szkołach żeńskich — nam nie trzeba ograniczać pola pracy — ale w szkołach męskich, by nauczyć chłopców być ludźmi.

Spojrzyjmy na uczącą się kobietę - studentkę. Pokoik jej czysty, sprzątnięty; suknia wyczyszczona, poszyte, poreperowane własnoręcznie rzeczy; umie sobie i ugotować, i zagospodarować się w swoim małym, schludnym pokoiku, umie sobie czas zappełnić po za pracą obowiązkową; tymczasem młodzieniec obdarty, brudny, niedomyty, obszarpany, głodny, bo nie umie ani uszyć, ani zaoszczędzić nic, by się wyżywić, wogóle nieszczęśliwy bez opieki matki, siostry lub żony, chyba że jest bogaty, by móc opłacić krawca, restaurację i t. d.

Kobieta, np. chodzi do biura, prowadzi gospodarstwo domowe, obszywa dzieci i męża, pilnuje porządku i strzeże wszystkiego od zniszczenia, wychowuje dzieci i jakoś temu wszystkiemu da radę; oczywiście, póki się nie rozchoruje, bo wszystkim w domu można się leczyć i o siebie dbać, lecz kobieta nie ma na to czasu; z przerażeniem spostrzega, że mogą się jej siły wyczerpać, że może zachorować — co wtedy będzie? — ona przecież wstaje najwcześniej i kładzie się najpóźniej, gotowa na każde zawołanie, jak anioł opiekuńczy, pełna poświęcenia i ofiarności, pochyla się nad kołyską dziecka, słuchając, czy równo oddycha, jak i nad łóżkiem śpiącego męża; wszyscy już dawno posnęli, spokojni, że czuwa nad nimi nigdy niestrudzona matka i żona.

Bieda jednakże, gdy się rozchoruje; wtedy rozpręga się całe gospodarstwo; dzieci brudne, opu-



szczone, głodne, służba bezkarna rozkrada i rozciąga wszystko, co przedtem z taką troskliwą miłością było strzeżone i gromadzone; mąż ucieka z domu, naturalnie, z żalem do żony, że śmiała się rozchorować; wogóle, mały świątek rodzinny staje się piekłem nie do zniesienia, a co się wtedy dzieje w rodzinach, gdzie niema na służącą!... Tu dopiero widać, jak niedostateczne i jak bezsensowne jest wychowanie chłopców. Na tę więc połowiczność kształcenia chłopców należy zwrócić uwagę!

Ratujmy rodzinę, budujmy rodzinę!

Danja, ten mały kraik, posiada już szkoły dla chłopców, gdzie, prócz nauk zwykłych w szkołach średnich, uczy się chłopiec gotować, prać, sprzątać, szyć, wychowywać i niańczyć dzieci — uczy się szanować kobietę i współżyć z nią!

Gdy zmodyfikujemy szkoły męskie, uratujemy rodzinę i społeczeństwo; do ludzi, dodamy ludzi, a skasuje się szkodliwy i śmieszny typ półczłowieka i wyzyskiwacza!

O nas bądźcie spokojni, szanowni panowie! Nam starczyło i starczy sił do objęcia całokształtu życia i pracy; potrzebujemy tylko pomocy i prawdziwego współżycia z wami, a zatem żądamy kategorycznie zmodyfikowania i uzupełnienia w szkołach średnich wykształcenia mężczyzn, a wtedy i wiosna powróci na ziemię naszą, miast ponurych wichrów, śniegu i nędzy; dobrobyt i ogólne bogactwo duchowe i materialne zapanuje w naszej kochanej Ojczyźnie; szczerze nareszcie gniożąca nas zmora, podtrzymywana przez mężczyzn, **prostyucja!**

Mężczyzna zacznie nareszcie żyć wszystkimi władzami ducha; stanie się samodzielnym i skończy z ciągłą zależnością od kobiety; będziecie nam równi, będziecie nareszcie ludźmi; przestaniecie się karmić naszą jaźnią, będziecie istotnie niezależni!

Mała rzecz: wniknąć tylko w siebie; bez przesądów, bez wiekowych naleciałości, bez egoizmu i głupoty!

Nie tędy droga, szanowni panowie!

Zbyt dużo wymagacie od kobiety, zbyt mało od siebie; świat stworzony jest z miarą, wagą i porządkiem; zdejmijcie bielmo z oczu waszych i patrzcie, gdzie zło leży! W imię więc równowagi życiowej, w imię ratowania rodziny i społeczeństwa, zwracamy się do was i żądamy: zmodyfikowania i uzupełnienia programów w szkołach średnich męskich!

Droga jest prosta i jasna! Podajmy sobie ręce i dążmy do celu odważnie i śmiało, bez przesądów; widać wyraźnie, w czym zło leży!

*A. Kobyłecka — Luboml.*

## **Małżeństwo — to zawód.**

Z polemiki, jaka wywiązała się między p. Częstochowianką a p. Mal-cką w „Naszej Mównicy“, w kwestji dla obu pań spornej: „czy kobieta zamężna, mająca dzieci, powinna pracować zawodowo“... — obie panie zajęły stanowiska biegunowo różne; zauważyć się jednak daje uzgodnienie w jednym

punkcie — że małżeństwo — to **zawód**, o tyle odpowiedzialniejszy od innych zawodów, że chodzi w nim o wychowanie człowieka i o harmonję domowego życia, co zaznacza p. Częstochowianka.

Jeżeli mamy traktować małżeństwo, jako zawód, to z konieczności rzeczy musimy pomyśleć o **przygotowaniu** do niego, jak do każdego innego.

Zrozumienie tego faktu byłoby wielkim sukcesem XX w., a zrealizowanie — wielkim postępem.

Ktoś może powiedzieć, że bez tego **przygotowania** mieliśmy ludzi wielkich czynów i myśli... Tak, ale zawsze dowiadujemy się, że matki ich były „wyjątkowe“ — a iluż mieliśmy i mamy wykolejeńców moralnych lub fizycznych?

Sparta, chcąc mieć dzielnych wojowników, odbierała od matek siedmioletnich chłopców i wychowywała ich według potrzeb i celu. Mussolini, chcąc mieć dzielnych obywateli — chciał oddać wychowanie dzieci państwu. Dlaczego? Odpowiedź jest prostą — dowodzi, jak sprawa wychowania jest **ważną** sprawą społeczną i państwową, a jak bywa często źle rozstrzygana w różnych rodzinach.

Słusznie więc, chcąc utrzymać rodzinę, jako **komórkę** społeczną, należy traktować ją, jako zawód z przygotowaniem odpowiednim i przystępować do małżeństwa, jako do obranego zawodu.

Wyczuwam w p. Częstochowiance powagę zapatrywań na małżeństwo i wychowanie dzieci — obronę ich gorącym sercem matki — i szczerze jestem wzruszona, że są jeszcze jednostki, ujmujące zadania rodziny — bez reszty, jak gdyby mówiły: „tu niema miejsca na inną pracę, bo i tej jest ogrom, chcąc być w zgodzie z wypełnieniem powziętych obowiązków...“. Słusznie.

Życie jednak wnosi nam niespodzianki do rodziny. W większości wypadków, pensja męża nie wystarcza na utrzymanie (dodawszy i powiększoną skalę wymagań osobistych). Kobieta volens-nolens bierze się do pracy poza domem (dlaczego nie w domu?...), na czem rodzina, w warunkach, jakich dziś jest postawiona, bezwzględnie traci. Musimy wejrzeć w te nowe, idące ku nam zmiany życiowe...

Jeżeli zaczniemy ujmować rodzinę ze strony zawodowej, to przede wszystkim wysunie się na pierwszy plan potrzeba gospodarczo-wychowawczego **przygotowania** kobiet. Ale jak? Jedni utrzymują, że jest to zadaniem rodziny (nieraz b. niekompetentnej). Drudzy spychają „gros“ sprawy na szkołę, wymagając od niej zawiele. Inni rozwiązują poniekąd sprawę, domagając się **przysposobienia** powyższego dla dziewcząt, równorzędnie z **przysposobieniem** wojskowym dla chłopców w szkołach średnich — radzą zamienić półtora-roczną służbę w wojsku na **powinność** obywatelską dla przyszłych żon i matek, o czem pisze p. J. W. z Zagłębia — a głos jej nie jest odosobniony. Wówczas może nastąpić równowaga w całokształcie wychowania młodego pokolenia — ku pożytkowi narodu.

Nie potrzebuję dodawać, że z tem pogłębianiem wychowawczem, tak rodzina jak szkoła muszą współdziałać.



O potrzebie tych reform woła życie wielkim głosem! Obejrzyjmy się tylko uważnie po świecie... Ręce trzeba załamać, patrząc, jak dzieci są wychowywane. Jaka różnorodność w pojmowaniu najprostszycy wskazań pedagogiki... Każda matka ma indywidualne metody wychowania (jeżeli je ma...). Na każdym kroku spotykamy nieuctwo, niedołęstwo, obstrukcjonizm.. Jednakowy system stosuje się do różnych charakterów dzieci w jednej rodzinie — albo za pobłażliwy, albo za surowy. Czasem myślę, czy nie lepiej byłoby zostawić dzieci samym sobie...

Nasuwa się myśl tworzenia „szerszych gniazd rodzinnych“ dla dzieci tych, które wychowywać czy nie umieją, czy nie chcą, czy też nie mogą..

Takie ośrodki już są zapoczątkowane: „gniazda harcerskie“, prowadzone przez harcerki. Znam taki zakład naukowo-wychowawczy pod Czorsztynem p. Małkowskiej, do którego przyjmowane są dzieci od 3 lat, a pozostają do 12-tu — system koedukacyjny. Mam w nim dwoje wnucząt już trzeci rok i jestem b. zadowolona z rezultatów. Dzieci żyją na swobodzie, w cudnej, górskiej okolicy — nauka postawiona b. dobrze i dzieci uczą się życia społecznego z drugimi, czego w domu być nie może. Podobno mamy takich szkół tylko cztery na całą Polskę — to za mało; należy życzyć, żeby ich było jaknajwięcej. Zapewne, nie każdy będzie mógł wysłać dzieci z domu, bo to jest drożej, ale dla tych, co mogą, tam, gdzie żona pracuje, nie będzie to za kosztowne — a dla dzieci niczem nie zastąpione.

Chciałabym poruszyć jeszcze jedną sprawę, dla ulżenia doli kobiecej...

Nieraz zastanawiam się nad tem, dlaczego w nowo kształtującym się życiu, na kobietę spada tyle ciężarów, coraz nowych, innych... a mężczyzna trwa w szczególniejszych przywilejach? Dlaczego on, silniejszy, nie ma brać udziału w trudach życia codziennego? Przyszedłszy z zajęcia do domu, jest panem siebie i swego czasu — wychodzi do cukierni czy do kolegów, wypoczywa, czyta, nie widząc nic, co się dzieje koło niego... Nawet drobnych posług koło siebie nie robi — nie przyszyje guzika, nie oczyści ubrania... nie zapakuje rzeczy do podróży! Wszystko mu podać trzeba, usłużyć... wówczas, kiedy kobieta, słabsza istota, ugina się pod ciężarem pracy domowej i trosk koło dzieci, przy tak bardzo nieudolnej pomocy służącej, mając zawsze o jedno dziecko więcej, t. j. — męża. Dowód? Proszę — mały przykład — powtarzający się **codziennie**:

On: (kończąc ranną toaletę) — Proszę nalać herbatę.

Za chwilę: — Czy nalana herbata?

Ona: — Tak. — (Na stronie: „zaczyna się nabożeństwo!...“).

Za chwilę:

On: — Sewerciu, osłodziłaś herbatę?

Ona: — Tak.

Za chwilę:

On: — Sewerciu, czy zamięszałaś herbatę?

Ona: (odrywając się od dziecka lub roboty — pośpiesznie mięsza): — Tak.

Do wychowania dzieci mało który ojciec się wtrąca — chyba, żeby ukarać. A jak byłby pomocnym i tutaj! Rola ojca w rodzinie jest stanowczo za mała. Czasy się zmieniają, inne wartości wpływają na powierzchnię — i stanowisko ojca zmienić się musi. Kobieta narówni z nim pracuje zarobkowo — jak równość — to równość, choćby w samowystarczalności. Trzeba już małych chłopców wychowywać w nowym systemie — uczyć szyc, przyszywać guziki, cerować pończoszki, usłużyć, sprzątnąć po sobie i t. p. Cieszę się, że wnuczek mój wychowuje się tym systemem i wyrośnie na inny „gatunek“ męski.

Z całą przyjemnością przeczytałam głos jednej z Korespondentek z Nr. 22 „Naszej Mównicy“ p. Mar-mor. z Zagłębia. Energicznie woła w tytule: „Reorganizujmy nasze ogniska domowe!“ (warto przeczytać jeszcze raz). Mogę tylko przyklasnąć tej zmianie, jaką wnieść projektuje: „choćby tylko, by obiadów nie gotować w domu...“. Marzy o centrali żywnościowej! Obiad — to oś, około której kręć się wszystkie niedomagania życia rodzinnego, to zdzieranie nerwów gospodyni domu, to konieczność trzymania służącej (śniadania i kolacje łatwo zrobić samej). Zrzeszajmy się w organizowaniu kuchni współdzielczych. W Ameryce nie są nowością takie współdzielnie. Wszyscy lokatorzy w danym środowisku nie prowadzą indywidualnych gospodarstw — wspólna kuchnia, pralnia, bawialnia, biblioteka, czasopisma i t. d., wszystko, co wchodzi w zakres pojedynczej rodziny, nawet dzieci mają specjalny dozór, czy opiekę wspólną. Czyż to nie ideał „wielkiej rodziny“? Materjalnie zyskamy również — znany jest przecież stosunek hurtu do detalu. A więc, nie jest to negacją pojedynczej rodziny, tylko jej **rozszerzeniem**, dającym możność żyć i kobiecie życiem własnym i społecznym narówni z mężczyzną, a rzeszom kobiet pracę „pro publico bono“ i dla własnej korzyści. Narazie starajmy się choć o wyszkolenie służby domowej. Wiemy wszystkie, czem służąca powinna być w rodzinie — **pierwszą pomocnicą**, a jest?... bardzo często ciężarem, albo i wrogiem. Nieraz zastanawiam się, dlaczego uboższe dziewczęta z tak zwanych lepszych domów, nie podejmują się tego zawodu? Przecież te kilkadziesiąt złotych miesięcznie, przy całkowitem utrzymaniu — to więcej, niż pensja niejednej urzędniczki. A ileż to kobiet starszych, znających gospodarstwo, biedę klepie „przy rodzinie“, dlaczego nie idą do tej pracy? Odpowiedź smutna: przywykłyśmy traktować służącą, jako coś niższego, podlejszego od siebie, nawet najlepszą... Tak, proszę pań. Jeszcześmy się o tyle nie zdemokratyzowały, żeby widzieć w niej istotę, dla której mamy właściwe obowiązki, a może mniej byłoby tych wrogów.

Bardzo wiele znaczy też umiejętne zarządzanie domem i czasem samej gospodyni. Z wieczora wydać dyspozycje i pieniądze na zakupy na następną dzień i pracę, którą wykonać ma służąca, ściśle określić. Grzeszymy częstem wysyłaniem służącej do miasta... a robota w domu czeka, i gniewamy się, że



nie nie zrobione; albo to ciągle odrywanie od pracy dla byle głupstwa, bagatelki: podać pantofle, suknie z szafy, która jest w tymże pokoju i t. p. Ciągle dzwonki muszą denerwować służbę. Ułatwieniem ładu i składu domowego jest znalezienie odpowiedniego i stałego miejsca na każdy przedmiot w szafie, komodzie, czy biurku, żeby można było i w nocy trafić do niego, w otoczenie to wpajać i pilnować. Ileż my nerwów tracimy wskutek bezładu domowego!

Wiem, że niniejszem nie wnoszę nic nowego, nieznanego dla czytelniczek; uważam jednak, że nigdy za dużo nie mówi się i nie pisze o tem, co nam życie ciężkiem czyni, jak i o tem, jak go pięknem i lżejszem uczynić, w myśl zasady: „Kończcie, a będzie wam otworzone“. Ulżyć za wszelką cenę tym, które biorą na swe słabe barki rolę ojca i matki, i tym „szarym“ (dla czego nie „białym“?...) pracownicom zawodowym, które bez rozgłosu pełnią „służbę Bożą“...

O kobietach, bawiących się i flirtujących, dlatego się nie mówi... że zapłata ich jest już tu na ziemi... może i dla nich przyjdzie chwila zastanowienia, że tracą perły dla blichtru.

*Semeryna Dzięciolowska z Wejheroma.*

### **Do Sióstr — miłośniczek morza.**

Korzystając z bezcennego wprost przywileju. że z „Mównicy“ jak ze szlachetnego źródła czerpać można słowa porady, pociechy, informacji, że przeróżne ludzkie biedy zostały dzięki niej usunięte — zwracam się i ja do wszystkich sióstr „dobrej woli i szczerzej miłości bliźniego“ w następującej sprawie:

Pragnęłabym wynająć nad polskim morzem maleńki, skromny domek, w którym mogłabym zarobkować wydawaniem obiadów dla sezonowych gości. Nie mogę porywać się na otwieranie pensjonatu, bo moje środki materialne są arcymałe, ale jakiś minjaturowy domek potrafię opłacić. Apeluje więc do tych sióstr, które są czytelniczkami „Bluszczu“, mieszkającymi nad morzem lub znają dobrze tamtejsze stosunki, by były łaskawe podać mi wyczerpujące informacje w tej sprawie. Czy możnaby mianowicie odnająć jakiś rybacki lub innego rodzaju domek — oczywiście nie na sezon lecz na stałe, za jaką mniejszej opłatą miesięczną? Może która z mych dobrych sióstr jest sama właścicielką takiego domku nad morzem i chciałaby go komu odnająć?

Zależy mi na samodzielnem prowadzeniu z łatwo zrozumiałych powodów — dlatego reflektowałabym tylko na osobny domek, ewentualnie oddzielną połowę domu. Nie mogę jednak dawać odstępnych sum lub kilkuletniego czynszu, bo żadnej gotówki nie posiadam. Natomiast będę bardzo sumiennie uiszczać czynsz miesięczny. Która z kochanych sióstr może przysłużyć mi się informacjami, proszę łaskawie podać je w „Mównicy“. Gdyby kto chciał listownie omówić sprawę — proszę zająć mego adresu, który, oczywiście, podaję Redakcji.

Przy tej sposobności zaznaczę dla ewentualnych sceptyczek, któreby oburzały się, że dla tych spraw

są inseraty i biura informacyjne: martwe, obce. pu-  
ste są litery w dziale ogłoszeń dziennikarskich, bo pochodzą od obojętnych, a niekiedy od szantażystów. W „Mównicy“ zaś oczekuje się słodkich słów prawdy od szlachetnych sióstr, które odpowiadają w danej kwestji, pamiętając, że cokolwiek dobrego uczynisz bliźniemu — Pan zapłaci stokrotnie.

*M. S. — Małopolska.*

### **O kondycję.**

Ośmielona tem, że w „Naszej Mównicy“ porusza się także niekiedy sprawy osobiste, zwracam się do Sz. Czytelniczek z prośbą, czyby nie wiedziały, gdzie mogłabym być potrzebną na czas wakacyj do dziewczynki. Jestem studentką polonistyki i mam maturę seminaryjną.

Adres mój w redakcji „Bluszczu“.

*N. M.*

### **Drobne, ale bolesne.**

Zwracam się niniejszem do Szanownych Czytelniczek z prośbą o radę w pewnej, bardzo trudnej dla mnie do rozstrzygnięcia, kwestji. Słyszałam zawsze i wierzyłam w to z całą ufnością, że w dzisiejszych czasach postępu i równouprawnienia, kobieta, jeśli tylko zachowuje się właściwie, jest wszędzie pewna również właściwego traktowania i śmieszne byłoby z jej strony obawiać się wyjścia samej wieczorem na ulicę, zaczepki i t. p. Niestety, własne doświadczenie wykazuje mi zupełnie co innego. Zmuszona pracować na swe utrzymanie, muszę wracać dość późno do domu, w Warszawie jestem sama, bez rodziny. Pomieszczenie znalazłam wprawdzie u bardzo zacnych i miłych ludzi, ale nie mogę wymagać przecież, aby mnie — odprowadzano i przyprowadzano! Ublizaloby to zresztą, nawet, gdyby było możliwe, moim zasadom. Wracając zaś z pracy — ileż razy spotykam się z zaczepkami, nieraz poprostu bezczelnymi. Przecież to jest okropne. Ubieram się jaknajskromniej, idę pewnym i szybkim krokiem, nie zwracam niczem uwagi, jestem młodą, ale nie posiadam ani wielkiej urody, ani nie frapującego; a zresztą, choćby nawet, czyż to uprawnia do takich wystąpień!? Jacyż bezmyślni, nieetyczni i płascy są tacy panowie. I to ludzie inteligentni, studenci, wojskowi — kwiat społeczeństwa! A już, Boże broń, jeśli taka sama młoda kobieta chce przejść się w święto, lub wolną chwilę, odetchnąć świeżem powietrzem na spacerze, w parku. Siedzę nieraz całą niedzielę w domu, jak pustelnica, bo nie mam z kim wyjść, a sama narażę się na takie przyjemne spotkania. Poradźcie mi, panie drogie, starsze, rozumne, jaki jest na to sposób? Powiedzieć takiemu panu słowa prawdy? A czem on odpowie? Zwracać się do policjanta o obronę? Jakież przykre. Dla innego rodzaju wypadków istnieje Tow. Ochrony Kobiet — takie fakty, o jakich mówię, są niby blahe, a jednak tak strasznie zatruwają życie. Trzeba pomyśleć, jak je usunąć. Jak postępować indywidualnie w każdym wypadku? I jak radzić ogólnie?

*Wacława M... Warszawa.*